



GAZETA BIAŁA

Polska walczy na ziemi włoskiej

ROK V Nr 25 (160)

NIEDZIELA, 24 CZERWCA 1945 R.

CENA 10 LIRÓW

ARP.

DRAMAT I POLITYKA

Proces wicepremiera i delegata rządu polskiego na Kraj Jana Jankowskiego, przewodniczącego tajnego parlamentu polskiego Pułku, ostatniego Dowódcy Armii Krajowej gen. Okulickiego oraz innych przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, które przeciwieństwo i przetrwało w walce czynnej okupację niemiecką, rozpoczęły się w tym samym dniu, o tej samej niemal godzinie, w której różne osobistości polskie lub pseudopolskie weszły w tej samej Moskwie „narady” nad wykonaniem uchwał krmyńskich, utworzeniem „nowego” rządu tak zw. Jedności Narodowej i doprowadzeniem do „ugody” polsko-rosyjskiej. Jednocześnie tych dwóch wydarzeń niewątpliwie celowo i świadomie zainscenizowała przez reżyserię sowiecką — wytworzyła obraz tak koszmarny, że trudno pojmować się przed okrzykami, które jednak wszystkie wydobyły się za słabe wobec dramatu, jaki przeżywa Rzeczpospolita, a z nią również jej sprzymierzeńcy oraz cały świat cywilizowany.

Polskie Państwo Podziemne, którego nie mogli zmoczyć Niemcy, stanęło na ławie oskarżonych przed sądem s-wieckim, przedstawicieli tego państwa, które pierwsze na długo przed Rosją wystąpiło orężnie przeciw Hitlerowi, określa się jako zbrodniarzy wojennych, a jednocześnie dąży się do skompromitowania nie tylko „oskarżonych”, ale i rządu polskiego, a także brytyjskiego i w ogóle całego zachodniego świata.

Historia Polski obfitowała w okresy bardzo ciężkie, wojna obecna — poza swymi zrywami — węgusła nasza na różnych frontach europejskich i poza podług całego narodu, z której jesteśmy tak dumni — miała dla nas przebieg wręcz ponury, ale nie przeżywalismy bodaj chwili o tak wstrząsającym, dramatycznym napięciu. Nie oczekiwaliśmy bowiem, nie mieliśmy prawa oczekiwać, że takie będą pierwsze wyniki zwycięskich walk z Niemcami.

Groza tych chwil nie wyraża się tylko w zeznaniach oskarżonych, z których gen. Okulicki nie przyznaje się do stawianych mu zarzutów, a Zbigniew Stypulski — działacz Stronnictwa Narodowego, b. poseł, z zawodu prawnik — nie przyznaje się do niczego, odmawiając sądowi sowieckiemu kompetencji do sączenia jego — obywatela Rzeczypospolitej. Bez względu jednak jak będzie wyglądał ogłaszany przez ten proces, nie możemy zapominać, że „wina” istota „oskarżonych” była ich walka na rzecz niepodległości i Polski. Stanęli oni przed sądem nie dlatego, że popełniali zbrodnie „sabotażu”, ale że wykonywali obowiązki członków rządu polskiego uznanego przez aliantów, lecz zwalczanego przez Rosję. Oskarżenie ich jest jeszcze jednym dowodem, że rząd sowiecki nie uznaje zasad prawa międzynarodowego, które każą szanować udzielone prawa państw, znajdujących się zwłazczają w tym samym obłożu walki. Do procesu nie doszłyby władze sowieckie za chowały się lojalnie wobec władz państwa polskiego, gdyby nie zabraly się do niszczenia suwerenności polskiej. To nie rząd polski winien zasiadać na ławie oskarżonych, ale rząd sowiecki, on to bowiem złamał prawo międzynarodowe wobec Polski.

Kto zna technikę sędownictwa sowieckiego (zainteresowanych odsyłamy do świetnej publikacji Sylwestra Mory i Piotra Ziemińskiego — „Sprawiedliwość Sowiecka”), tego nie zdziwi jednak charakter niektórych zeznań ludzi wprowadzonych w końcu marca przez władze sowieckie i trzymanych przez N.K.W.D. w śledztwie do dnia procesu w zupełnym odosobnieniu od świata.

Sala kolumnowa, w której proces Polaków odbywał się, widzieli już tego rodzaju rozprawy, gdy na tej samej ławie oskarżonych zasiadali starzy bolszewicy z Związkiem na czele, oskarżeni o współpracę z faszystami, Tuchaczewski oskarżony o samobójstwo, G.P.U., które mu postawiono zarzut szpiegostwa, in-

niowie brytyjscy, pracujący jako specjaliści w przemyśle sowieckim, również o szpiegostwo oskarżeni itd. Groza nie wynika nawet z krzyżacej, niedającej się wyrazić słowami niesprawiedliwości, która spotyka Polskie Państwo Podziemne, ale właśnie z „przejrzystych” rokowań o wykonanie uchwał krmyńskich. Twierdzenie, że oskarżeni traktowani są jak zwyczajni zakładnicy wobec tych Polaków, którzy zdecydowali się lub musieli (pomiędzy bandę Bie-

stabilizację pozycji Rosji, jako głównego mocarstwa świata, prowadzona jest fałsz. Ludzkość pragnie dać pokój, ludzkość jest zmęczona sześćdziesięcioletnią wojną, która skągnęła na świat niespotykany dotychczas różniar nieszczęśliwych i ofiar, świat marzy o ciszy, ale dla Rosji pokoju takiego, jaki świat zachodni chciałby uzyskać — nie ma i być nie może. Polityka rosyjska jest wciąż w ofensywie. Widzieliśmy to i widzimy na wielu przykładach. Swój jednak zwyciężając polityka ta szuka dla

cia sprzyja wciąż Hitlerowi, bo niepokoi się obecnością wojsk sowieckich na Bornholmie itd.

Absurdalnych tych przykładów można by mnożyć bez końca. Jednym z nich jest stanowisko polityki sowieckiej wobec rządu polskiego w Londynie, polskiego sił zbrojnych na emigracji, które tyle ciociów zadały wojskom Hitlera, i w ogóle wobec mas wywiezionych z granic Rzeczypospolitej Polaków, których wina polega na obstawianiu przy idei niepodległości swego kraju i odrzucaniu takiego układu, w którego wyniku Polska zostałaby rozczłonkowana i pozbawiona wolności prawdziwej. Proces w Moskwie zmierza przede wszystkim do dostarczenia fałszywych argumentów, które umożliwiłyby ostateczną likwidację niepodległości polskiej przez zniszczenie Polskiego Państwa Podziemnego, legalnych władz polskich i sił zbrojnych Rzeczypospolitej.

Albo proces ma również inne cele. O co oskarżeni o spiski z „Londynem, spiski wymierzone przeciwko Rosji. A kim są ludzie posadzeni na ławie oskarżonych? Nazwiska ich podane zostały władzom sowieckim przez rząd brytyjski, co więcej trzech z pośród nich rząd brytyjski proponował jako kandydatów na członków „nowego” rządu polskiego. Wnioski są jasne. Proces — jak z tego zdaje sobie sprawę londyński „New Statesman and Nation” — ma wykazać, że W. Brytania i stojące za nią St. Zjednoczone nie są jej jawnymi sprzymierzeńcami Rosji, popierają bowiem ludzi, których akt oskarżenia nazywa sabotażem, szpiegami i wrogami Z.S.R.R. Proces ma uświadomić Rosji postawienie Brytyjczyków ofensywnego, podstępne pytanie: czy idziecie z nami, czy przeciw nam. Wysłunięcie zaś takiego pytania ma umożliwić Rosji osiągnięcie korzyści zasadniczych nie tylko na odcinku polskim, ale i w szeregu innych punktach.

Fakty takie, że przewodcy Polskiego Państwa Podziemnego musieli mieć kontakt z Londynem (okazuje się, że posiadanie tego kontaktu jest zbrodnią), gdyż razem z Londynem prowadzili walkę przeciw Niemcom, że Armia Krajowa przypłaciła swym istnieniem nieustanne próby lojalnej współpracy z Polską Czarną w wypędzaniu Niemców z Polski, że wysłali m. in. gen. Bór-Komorowskiego, by w czasie powstania warszawskiego nawiązać łączność z dowódcami wojsk sowieckich spływających na nich, wszystko to uszło uwadze aktu oskarżenia. Ma on bowiem cele polityczne na oku, proces zaś ustalił ma za wszelką cenę to, co znalazło się w słynnym oświadczeniu Stalina ogłoszonym na łamach „Timesa” w sprawie aresztowania 16 Polaków.

Cóż znaczy jednak w takim razie gotowość Rosji do wszczęcia rozmów w sprawie wykonania uchwał Jalty co do Polski? Dlaczego p. Hopkins, który do wzniesienia tych pertraktacji doprowadził, uważa je za swój sukces personalny? Skąd „optymizm” prasy światowej w tej sprawie powstrzymywany wyraźnie na łamach prasy angielskiej? Opiera się on na tragicznym nieporozumieniu. Z chwila, gdy jak doniosł londyński „Daily Mirror”, Harry Hopkins — odpuszczając od postanowienia p. Stettinusa i Edena w San Francisco — zgodził się na życzenie Stalina wznówił rokowania w kwestiach polskich przed „wyjaśnieniem” sprawy uwiecznionych Polaków, rzecz całą — wbrew zwyczajnemu pozorom — została przegrana przez dyplomację amerykańską. Sukces personalny w tych rokowaniach odniósł nie p. Harry Hopkins — jak to natwierał tłumaczyli entuzjasti tego dyplomaty — przypadek — ale Józef Stalin. Komuniwarskie metody w polityce, na które swego czasu oskarżał się Roman Dmowski — znowu poniosły drugiegożalną klęskę. Inaczej być zresztą nie mogło.

Rozpoczęcie procesu 16 Polaków jednocześnie jest wznowieniem rokowań w sprawie Polski na cel wytworzenie

(Dokończenie na str. 10).



Prezydent R.P.
Władysław Raczkiewicz

Gen. dyw.
Władysław Anders

W DNIU ŚW. WŁADYSŁAWA

Dorocznym zwyciężając w dniu św. Władysława myśli, uczucia i życzenia nasze żołnierskie skierują się ku Prezydentowi Rzeczypospolitej, Władysławowi Raczkiewiczowi, oraz ku gen. Władysławowi Andersowi, który znów jest wśród nas.

W chwili, gdy toczy się najbardziej zadająca i nieprzeobrażająca w wielką akcję, by zwyciężyć polski udział i niepodległość, gdy członków podziemnego rządu polskiego, tej suwerenności strażników, osadzono na ławie oskarżonych w sądzie obcego państwa, a kraj znalazł się pod obcą okupacją i w rękach obcych agentów, tym bardziej zdecydowanie i niecierpliwie stajemy przy Prezydencie Rzeczypospolitej, który jest suwerennością polskiej symbol najwzwyż. Oby mógł on jak najprędzej osiąść znów w Warszawie, stolicy

tej Rzeczypospolitej, która wojnę z Niemcami wygrała, lecz najbardziej oczywistych owoców zwycięstwa wciąż jeszcze nie osiągnęła.

Podobne życzenia skierowujemy pod adresem gen. Władysława Andersa. Wojna z Niemcami zakończyła się triumfem zupełnym. Do ostatniej chwili tych walk wojska polskie pod dowództwem gen. Andersa wypinały zaszczepione swe obowiązki wobec Ojczyzny i wobec aliantów. Lecz wojskom tym zaniknęło drogi powrotu żołnierskiego do Ojczyzny. Oby również jak najprędzej nadjechała chwila, gdy wojska te, a w szczególności drogi sercu Generała 2. Korpus, mogły wkroczyć ze swymi dowódcami i pod swymi znakami w granice Polski naprawdę niepodległej, nieuszczerplonej i cieszącej się prawdziwym pokojem.

ruta) pojechać do Moskwy, „na rozmowy” nie wyczerpywałyby całej zagadnienia i byłoby zbyt uproszczone.

Proces ma charakter polityczny i międzynarodowy. W grę wchodzi nie tyle los oskarżonych, co wielkie ogólne linie polityczne mocarstw, ich dążenia na arenie międzynarodowej, ich wzajemne rozgrywki, ustanawianie ich pozycji w świecie po zwycięskiej wojnie z Niemcami. Proces w Moskwie i jednocześnie „rozmowy z Polakami” mają dopomóc Rosji do osiągnięcia jej dalszych, niemal nieukrywanych już celów. Proces jest tylko nowym manewrem strategiczno-politycznym, wiążącym się z planami znacznie rozleglejszymi.

Na rozprawie w Moskwie palnierz naczy przez przyrząd żelaznych doktryny Clausewita, którego autorytet jest w Rosji oficjalnie uznawany. Zasadniczym założeniem tej doktryny jest twierdzenie, że polski jest dalszym etapem wojny. Wojna z Niemcami skończyła się, ale walka o rozwój i

swójch dążeń alibi, chce wykazać, że to inne mocarstwa, inne narody — inne siły — zagroziły Rosji, spiskują przeciw niej, myślą o jakiejś „kapitałistycznej interwencji” w Z.S.R.R. Różnymi drogami — często metodą prowokacji — szuka się dowodów najbardziej ipozomych, by wykazać, że to świat zachodni chce wypowiedzieć wojnę Rosji, którą rzekomo w ciży przyszołuje. Każde zaś przeciwstawienie się agresywnym wystąpieniom Rosji, każda krytyka jej polityki, każda obrona prawa deplowanego narodu czy po niewiernej jednostki, każde podkreślenie zasad wolności i demokracji, napastowania przez wschodni totalizm, zostaje natychmiast krzyżowane jako „faszizm”, zbrojny interwencjonizm, kapitalistyczne spiskowanie itd. Zdumiony świat dwudzięty się z radu moskiewskiego, że wojnę przeciwko Rosji przygotowuje Papież Pius XII, że Szwajcaria jest krajem najbardziej faszystowskim w Europie, że Szwec-

I. M. BOCHENSKI O. P.

O demokrację społeczną

Tezy niniejszego artykułu są następujące: (1) demokracja polityczna różni się od demokracji społecznej, (2) demokracja społeczna jest postulatami wynikającymi z najgłębszych zasad chrześcijaństwa, (3) demokracja społeczna nie została u nas dotąd zrealizowana, (4) demokracja społeczna nie wyłącza ani nie podważa dyscypliny, (5) poza względami ideowymi i także dzisiejsze położenie polityczne Europy wymaga bezwzględnego przystąpienia do realizacji demokracji społecznej.

I.

Zaczynam według dobrego zwyczaju scholastyków, niewiadomo dlaczego ośmieszając przez trzy wieki za ich zamówienia do uczciwości w myśleniu, do rozróżniania znaczenia używanych słów. „Demokracja” pochodzi, jak wiadomo, od greckich słów „demos” — „lud” i „krates” — „rządzić”, etymologicznie znaczy więc tyle, co „rządy ludu”, czyli, dokładniej, „ustroju, w którym lud rządzi”. Stąd w pierwszym i podstawowym znaczeniu, „demokracja” nazywamy ustroju, w którym każdy obywatel ma równy udział w rządach; ową równość implikuje wyraz „demos”, który może dokładnie należeć do tłumaczenia po polsku „masa”: niezróżnicowana pod żadnym względem masa ludu, najpełniejszą (teoretyczną) równość. O tak pojętą demokrację tutaj nie chodzi; natomiast wyraża się tylko pogląd, że (1) demokracja taka, zwana „polityczną” nie jest bynajmniej najlepszym ustrojem; przynajmniej nie znam ani jednego prawie wybitnego myśliciela, któryby tak sądził — wszyscy niemal, od Platona, poprzez Arystotelesa, św. Augustyna, św. Tomasza, Spinozę, Leibniza, do Hegla uważali ją za gorszy rodzaj ustroju — a praktycznie ją za gorszy rodzaj ustroju — a praktycznie ją za gorszy rodzaj ustroju. (2) Następnie sądzić, że jest to ustrój nigdy nigdzie nie był rzeczywistym — rządzić mity, używano przez demagogów wszystkich czasów do zdobywania sobie popularności; wydaje się, że państwami rządziły zawsze i do dziś rządzą liczne grupy ludu, a demokrację wybierali nie są bynajmniej równoznaczne z jakimiśkolwiek wpływem mas ludowych na dobór grup rządzących. To są jednak uwagi marginesowe. Istotnym jest tylko tyle, że demokracja polityczna tutaj nie zajmuje się. W drugim, wtórnym znaczeniu, „demokracja” nazywamy ustroju, w którym wszyscy obywatele, nie wyłączeni z grona ludzi pełnoprawnych wyrokami sądu za zbrodnię, uznani są za zasadniczo równych, w tym przynajmniej znaczeniu, że (1) każdemu człowiekowi przysługują te same prawa, a demokracja społeczna jest postulatami, że (2) wszyscy są równi wobec prawa i posiadają równą możność ubiegania się o zajęcie najwyższych nawet stanowisk, (3) nie ma kast posiadających przywileje, związanych ze samymi należeniami do kasty, (4) nie istnieje własność niewolnicza wobec człowieka. Tak pojętą demokrację będę tu nazywał „demokracją społeczną”.

Każda z powyższych tez jest uproszczeniem skrutem, który wymaga dla pełnego zrozumienia bliższych określeń. W szczególności, mówiąc o równym szacunku dla wszystkich, nie wyłączam szczególnego szacunku okazywanego w służbie ludziom pełniącym władzę — gdyż wówczas odnosi się on nie do nich, ale do władzy; nie wyłączam także czci karnej, o której mówił św. Augustyn, nie miałyśmy nie przejmować. Wreszcie, uważam za dopuszczalne skazanie przestępcy na niewolę za zbrodnię. Mimo tych zastrzeżeń myśl przewodnia powinna być jasna: demokracja społeczna jest to ustrój, w którym nie istnieje kasta, a ludzi uważamy za zasadniczo równi pod każdym względem, mogą doznawać szczególnych względów lub pomniejszenia praw tylko za zasługi wzgl. przestępstwa — nigdy za nic innego. Podstawowym postulatem demokracji społecznej jest zniesienie uprzywilejowanych kast.

II.

Demokracja społeczna jest postulatem, a przez najgłębsze zasady i duch chrześcijaństwa. Zawiera ono aż trzy prawdy, z których każda wystarczałaby sama do odrzucenia przez myślicielem chrześcijaninami na wszelkich postaciach kastowości, niezasadonych przywilejów i niewolnictwa.

1. Przede wszystkim, chrześcijaństwo uczy, że człowiek może otrzymać łaskę, tj. stać się przyjacielem Boga, a nawet mieć udział w wewnętrznym życiu Stwórcy. Ołóż dary to swoją wartość tak nie skończoność przewyższającą największe nawet dobra doczesne, a zarazem stopień ich jest nam tak nieznany, że zmuszeni jesteśmy wszystkich ludzi uważać za równych. Wyjąwszy łaskę, gdzie bezpieczeństwo społeczeństwa i oczywiście pozostali zewnętrznie zmuszają nas do przyjęcia, że mamy do czynienia z istotą wyrodliwą i pod-ludzką.

Abym nasławić znaczenie tej prawdy dla demokracji, wystarczy przypomnieć, że biedna, nieinteligentna, niepamiętna, i społecznie stosunkowo mało wartościowa kobieta wiejska, może posiadać łaskę w stopniu bez porównania wyższym od Prezydenta Państwa, najgenialniejszego malarza, poety czy filozofa. Kto sio na gruncie chrześcijańskim, ten będzie mógł domagać się, aby Głowie Państwa, malarzowi czy filozofowi dano lepsze niż owej kobiecie warunki pracy, np. aby mu ktoś sprzątał pokój, bo w ten sposób zaoszczędzi się jego czasu, bardzo dla społeczeństwa cennego — ale nie będzie miał żadnej podstawy do twierdzenia, że ów Prezydent, poeta czy filozof jest istotą bardziej czcigodną, na większy szacunek i większe przywileje zasługującą niż owa kobieta. Trzeba ze szczególnym naciskiem stwierdzić, że zdolności i wykształcenie nie dają nikomu, z chrześcijańskiego stanowiska, żadnego tytułu do uważania się za istotę wyższą, „lepszą” niż drugą. Jest zapewne społecznie pożyteczniejszy (choć nie zawsze) ale lepszym przez to samemu, najmniej się nie stał i na żadne przywileje nie zasługuje. A w każdym razie nie są biedna i niepamiętna kobieta nie są zasługujące na to, aby ją traktowano jak istotę niższego rzędu, którą w świetle chrześcijaństwa nie jest. Wiadomo, nawet, że takie kobiety bywały nie raz zgła wzięte, młotami od różnych polityków i mędrców. Pókiważ są za istotnej wartości człowieka nie znamy, musimy być demokratami.

2. Następnie, chrześcijaństwo głosi naukę o powszechnym braterstwie wszystkich ludzi — i to braterstwo nie tylko formalnym, ale ewangelicznym, a głębszym, którą nauka Ewangelii postuluje od nas wzajemnie, jako od dzieci tego samego

Ojca. Jest jedną z podstawowych doktryn chrześcijańskich, że Boga należy uważać za Ojca, a wszystkich ludzi za braci. Stąd przędzali kastowe między ludźmi, dzielenie ich na „lepszych” i „gorszych”, o ile taki podział nie był warunkowany przez obiektywne (tj. sądowe) stwierdzone zbrodnie — albo równie obiektywnie stwierdzone zasługi; i cnotę, jest za stanowiska chrześcijańskiego niedopuszczalne. Nawet, gdy jeden z braci się wybił, nie ma na gruncie Ewangelii, żadnych podstaw do wyzniesienia się przez niego ponad innych, jako, że nie nie mamy, co go byśmy nie otrzymali. W rodzinie m-ga być bracia i siostry zdolniejsze i mniej zdolne, energiczniejsi i powolniejsi, lepsi i gorsi — ale zasadniczo postawą musi być braterstwo, nie podziały kastowe, ani tym mniej stosunek pana i niewolnika. Zarówno jedno jak i drugie jest wprost zaprzeczeniem ducha chrześcijańskiego.

3. Wreszcie, na potwierdzenie tych dwóch nauk teoretycznych jest praktyczna nauka Chrystusa Pana, który wybrał życie proletariatu i śmiertelność niewolnika na krzyżu, a w ciągu swojej działalności naukowiczej nie przestawał stawiać tak zwanych „małych” ponad „wielkimi”. Wystarczy przypomnieć przypowieść o bogacz i Lazarus, kazanie na górze, uwagi na temat groza widownię i dziesiątki podobnych tekstów, zdradających aż nadto wyraźnie postawę Zbawiciela naszej religii. Chrześcijanin obowiązany jest Chrystusa Pana naśladować — a trudno sobie wyobrazić Go w roli pana posiadającego niewolników, korzystającego z kastowych przywilejów i nie podającego ręki bliźniemu tylko dlatego, że ten bliźni jest z „gorszej” rodziny.

Ze stwierdzenia tych trzech prawd chrześcijańskich wyciągam wniosek, że chrześcijanin nie przynajmniej się do demokracji społecznej, albo nauki ewangelii w ogóle nie zna, albo nie jest prawdziwym, lecz tylko merytorycznym chrześcijaninem. Chrześcijaństwo postuluje demokrację społeczną.

III.

Obrońcy pogańskich obyczajów, kast, przywilejów i tym podobnych ponurych zabytków starożytności zwykli są twierdzić, że w real panowania kastowego i przedstawione byłyby równoznaczne z zerowaniem hierarchii społecznej i autorytetu władzy. Przeciw temu zarzutowi

wysuwan twierdzenie, że demokracja społeczna nie podrywa ani hierarchii, ani dyscypliny społecznej.

Takie skutki powoduje demokracja społeczna istnieć w społeczeństwach, w których autorytet władzy i dyscyplina oparte są na kulcie „wyższej” osoby i strachu wobec niej. Istnieją takie społeczeństwa. Wydaje się, że cała Azja — Rosja w szczególności — nigdy nie wyszła ponad ten poziom. Panującej uważany jest tam za nadzwyczajną, każdy przełożony odbiera część psi religijną, ponoszącą godność ludzka, urzędnik pokrywa się nie raz w wielkim panem. W takich społeczeństwach wprowadzenie demokracji społecznej musi istotnie spowodować upadek wszelkiego autorytetu i dyscypliny.

Ale w społeczeństwach wychowanych w atmosferze chrześcijańskiej kultury położenie jest zgoła odmienne: autorytet i dyscyplina nie są oparte na kulcie osoby, ani na strachu przed nią, ale na uznaniu zasady, że człowiek, który jest podporządkowany wyższemu nad wszystko co ziemskie celom i wartościom. Stąd w takich społeczeństwach szacunek do władzy nie jest sprzeczny z braterstwem i demokracją społeczną.

Ołóż śmieć twierdzić, że do tych społeczeństw należy i nasze. My nie jesteśmy barbarzyńcami. Nawet ci spośród nas, co od Wiary odeszli — a tych jest przecież mniejszość — żyją jeszcze dorożkami ty-sięcioletnią chrześcijańską, które wpół w nich przekształciły się w człowieka jest odpowiedzialny przed sumieniem i Bogiem, nie przed ośm i kłębem kacyka. Ilekroć miałem do czynienia z tzw. „niższymi” warstwami w Polsce, stwierdzałem zawsze, że one — i może bardziej od często przegniebne pod wpływem anty-chrześcijańskich prawd inteligencji — mają pełne zrozumienie dla podstawowej zasady Wiary, o istnieniu niezmiennego, każdego osobie obowiązującego Prawa moralnego i że najwęższy, nawet człowiek jest wobec niego to jest wobec Boga — prochem i cieniem.

Wydaje mi się, że obecna wojna, w szczególności obie ostatnie nasze kampanie, włoska i francusko-holenderska, dały aż nadto nowych dowodów, że w naszym narędzie żyje w pełni rozumienie różnicy między człowiekiem a Prawem i władzą. Nie ma obawy, aby demokracja społeczna miała u nas spowodować rozluźnienie dyscypliny i podważenie autorytetu władzy. Ogromna większość u nas doskonale uczona, niemniej od Anglików, że to imgo jest służba, w której trzeba słuchać bezwzględnie, bo takie jest Prawo, a co innego człowiek, który władzę wykonuje.

Powolywanie się na rzekome niebezpieczeństwa społeczne, związane z demokratyzacją naszych stosunków, jest mitem zdanym tylko wykretem, mającym umożliwiającą zastosowania wyrażone moralnego nakazu.

IV.

Nakazy moralne oparte na duchu chrześcijaństwa są ponadczasowe i obowiązują o każdym czasie. Ale jeśli chodzi o postulat demokracji, miało być choć w dziejach, w których potrzeba jego realizacji była tak pilną jak dzisiaj.

Na Europie idzie bolszewicka burza, która niszczy się sobą nie tylko niedzę, nie tylko ruinę wszystkich naszych świętości — ale przede wszystkim niewolnictwo, zaprzeczenie zasadom chrześcijańskim pod tym względem bardziej jeszcze niż pod innymi. Ołóż dzięki dziwnemu paradoksowi, oni, pachołkowie niewolnictwa i bezwolne narzęda tyrania, idą na Europę pod hasłem „demokratyzacji” życia — a my, prawdziwi obrońcy wolności, nie umiemy wyciągnąć wniosków z naszych naprawdę demokratycznych zasad. Nie chodzi tutaj wcale o licytowanie się z nimi: bo licytacji być nie może tam, gdzie na przeciw siebie stoją dwa poglądy na życie tak radykalnie różne i wrogie, jak chrześcijaństwo i bolszewizm. Chodzi o to, aby nasze chrześcijaństwo nie było farszowane przez niechrześcijańskie pozory, aby nasza podstawa była czysta i logiczna. To jest postulat biologiczny.

Jest przy tym istrona praktyczna. Co my przeciwstawiamy bolszewizmowi? Powrót do dawnych form życia? Nikt z nas nie wąpi. Je najgorzej nawet rzeczy z tego dawnego sposobu życia u nas w Polsce były lepsze od piękła, które niosą ze sobą bolszewicy „wywabcy”. Ale historia walk ideologicznych wykazuje jasno, że pod naszym hasłem powrotu do dawnego życia nikt z powodzeniem walczyc nie potrafi. Musimy znaleźć hasło, postępowe, rewolucyjne. Takiego hasła nie potrzebujemy szukać daleko — leży ono w najistotniejszych założeniach naszej wiary i kultury: jest nim demokracja społeczna.

Wydaje mi się, że wypisanie tego hasła na naszych sztandarach, i co ważniejsze, urzeczywistnienie go w naszym życiu, jest jednym z warunków powodzenia w walce, którą wygrać musimy.

Scrutator

SPRAWY POLSKIE W KSIĄŻKACH ANGLIEJSKICH

Anglia a stosunki polsko-rosyjskie

Wybitny historyk i parlamentarzysta, Sir J. A. R. Marriott, ogłosił książkę „Anglo-Russian Relations 1689-1943”. (*) w której daje zarys stosunków rosyjsko-angielskich od końca XVII w. na tle dziejów politycznych Europy.

Nieco miejsca poświęcono tu także zagadnieniu polskiemu, poczynając od rozbiór Polski: „Pierwszym celem polityki zagranicznej Katarzyny było zapanowanie i — jeśli to możliwe — pochłonięcie Polski — pisze autor.

Po wojnie świątowej Polacy „nieco zbici w pychę (somewhat elated)” być może, z powodu sympatii okazywanej im przez zachodnich sprzymierzeńców, oraz z powodu odzyskania niepodległości, dwukrotnie odrzucił (?) propozycję pokójowej Rosji i korzystać (?) z wojny domowej, rozpoczęli ofensywę, zdobywając 6 maja 1920 r. Kijów”. Z kolei fala odwróciła się: Rosjanie znaleźli się pod Warszawą. „Wprawdzie bolszewicy wypierali się wszelkiej chęci przyłączenia terytoriów polskich, ale w myśl słów Lenina, chcieli, z zgnięciem burżuazji polskiej przy pomocy bagnetów czerwonej armii”. Celem ich było stworzenie regimie u komunistycznego w sąsiednim państwie. Rządy francuski i angielski chętnie przyszły Polsce z pomocą, ale robotnicy jednak szczególnie w Wielkiej Brytanii opowiadali się za rewolucyjną Rosją. Kolejne Great Northern Railway wręcz odmówił transportu amunicji przeznaczonej dla Polski. Długość twojej postawie dyrektywy kolei oraz Lloyd George’a. Incydenty zakończyły się kapitulacją kolejarzy. Tymczasem na pięć przed dwunastą, Warszawę uratował geniusz wojskowy Marszałka Piłsudskiego, przy nieocenionej pomocy (?) gen. Weyganda, który był świątynnym szefem sztabu Focha i którego wraz ze sztabem oficerów francuskich wysłano do Warszawy. Rosjanie zostali odrzuceni od samych bram Warszawy i zmuszeni do ucieczki na łeb na szyję”. „Niepowodzenie Rosji sowieckiej — zaz-

nacza Marriott — w ustanowieniu komunizmu w Polsce — nie zniechęciło jej jednak do szerzenia go w demokracjach zachodnich, przy czym krąki, który uważał za „przedmurze kapitalizmu”, nie znalazł się tu na ostatnim miejscu”.

Polityka Stalina w r. 1939 nie jest dla Marriotta jasna, ale w chwili obecnej nie uważa za wskazane odgadywać jej tajemnic („nor would be profitable at the moment to require”).

Być może, Stalin, rojąc na temat wzajemnej pomocy wojskowej w obliczu wojny z Niemcami, kpił sobie po prostu z Anglii i Francji, był może, brał odwet za politykę trzymania Rosji w osłobieniu, jak uprawiali mocarstwa Zachodu, być może, liczył na wojenne wyczerpanie się Niemiec i państw zachodnich. Tak czy inaczej, porozumienie niemiecko-rosyjskie z dn. 23 sierpnia 1939 r. wstrząsnęło światem. Pakt ten „położył koniec nadziejom na pokój pomiędzy Niemcami i mocarstwami zachodnimi i przypieczętował losy Polski”. „dał on Rosji, minimalnym nakładem krwi i kosztów, znaczną część Europy”. Niemcy wdarli się do Polski i 1 września 1939 r. w dwa tygodnie później Rosja poszła za ich przykładem (17 września). Polska, która dzielnie walczyła mimo całkowitego niedostatecznego zaopatrzenia, nie mogła stawić skutecznego oporu najeźdźcom, którzy dn. 28 września doszli do porozumienia co do szczegółów rozbioru”.

Najtrudniejszym zagadnieniem na porządek dnia pełnego porozumienia z Rosją jest skądienność Polski. Autor daje wprawdzie do zrozumienia, że Wielka Brytania o tyle tylko zainteresowana jest losami Polski, o ile związany jest z nimi światowy pokój, ale „nasze zobowiązania honorowe zmuszą nas do przychylenia się do wyrównania rozbieżnych interesów Polaków i Rosjan”.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że trzy lata temu Marriott wydał książkę pt. „The Tragedy of Europe”, w której znalazła się pochwała dla Piłsudskiego i konstytucji r. 1921. Marriott porównywał Piłsudskiego do Cromwella, zaznaczał: „Kto wie, czy gdyby Piłsudski żył chociaż pięć lat dłużej, nie uchroniłby swego kraju od tragicznego losu i nie uratował Europy od niszczącej wojny”.

(*) Anglo-Russian Relations 1689-1943 by Sir J. A. R. Marriott, Hon. Fellow (formerly Fellow and Lecturer) of Worcester College, Oxford; late M. P. for York. With three maps. Second edition. London, Methuen, 1944.

16 oskarżonych i 100.000.000 milczących

I.
Taki więc ma być finał Polskiego Państwa Podziemnego, które przez pięć lat walczyło przeciw wspólnemu wrogowi. Wicepremier Rządu Polskiego, trzech ministrów, przewodniczący Rady Jedności Narodowej oraz były dowódca rozwinętej Armii Krajowej — stanęli przed trybunałem sowietów.

Można zwątpić we wszystko, 16 bojowników o wolność, przywódców największej w Europie antyfaszystowskiej i antyleninowskiej organizacji podziemnej, arcybiskupa, „zbrodniarzy wojennych”, by p. stać ich przed sądem, który — jak wiemy — zna tylko jedną formułę wyroku.

Jeszcze jeden włos nie spadł z głowy Goeringa, Ribbentropa, w. Neuratha czy Franka, jeszcze żyją kaci z Oświęcimia, Dachau, Buchenwaldu — jeszcze nie wiadomo, kto i gdzie ich będzie sądził. Zapowiedź jednak procesu 16 polskich przywódców demokratycznych ogłoszona została przez osobę w Rosji najbardziej autorytatywną.

To jest fakt, który nie mieści się w szpaltach dziennikarskiej wiadomości i wykracza poza ramy tzw. polityki. Nie ludzkość Tremblinek czy Belsen nie mogą być porównane z grząz tragedii tych szesnastu. Dachau czy Oświęcim, komory gazowe, masowe egzekucje i tortury były dziełem wrogi, barbarzyński sły, przeciw której do walki stanął cały cywilizowany świat. Jednak tych 16-tu polskich bojowników wolności nie Niemcy aresztowali, nie kazi Gestapo im grozi. Uwiecznili zostali przez jedno z mocarstw, należące do obozu narodów sprzymierzone, a nazwiska ich ujawniono zostały za pośrednictwem rządów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Tych 16-tu reprezentowało nie tylko naród polski, lecz w identycznej mierze tych wszystkich, którzy w tej wojnie walczili, cierpieli i ginęli za wspólną sprawę. To nie jest jeszcze jeden detal sprawy polsko-rosyjskiej, jeszcze jeden przyczynek do dyskusji kryminalnej. Tych 16 Polaków reprezentowało idee wolności, za którą w tej wojnie ginęli Angli, Amerykanie, Francuzi, Polacy — żołnierze narodów sprzymierzonych. Sprawa tych 16-tu jest wymierzona celowo w nas wszystkich, kombatantów tej drugiej wojny światowej podjętej o wolność i demokrację.

II.
Na kontynencie istnieje teraz kategoria ludzi, których określa się dwoma litera-

mi „D. P.” (Displaced Persons). Są to miliony deportowanych, jeńców, robotników — mężczyzn, kobiet i dzieci, miliony Ludzi Bezdomnych.

Ci ze Łowosy i Wilna, ci od sześciu lat bez wiadomości od najbliższych, ci ze zrównanych z ziemią domów warszawskich, ci deportowani i zsyłani — displaced Persons.

Aresztowani i źierze Armii Krajowej, wcielani przemocą pod cbe znaki, „przyłączani” i „uszcześliwiani” — displaced Persons.

Zona w Belsen, syn na cmentarzu kasimskim, matka zmarła z głodu na zesłaniu, dzieci zrodzone w niemieckich obozach, listy zagubione i niedosłone — displaced Persons.

Sj. Polacy, Francuzi, Jugosłowianie, Czesi, Włosi.

Nie sążyma rozwiązań ani prostych ani naturalnych. Tworzymy dziołowory, międzynarodowe miasta, nowoczesne wieże Babel, bo dla milionów nie ma powrotu do domu.

Maciej Feldhusen w korespondencji z Grevan nad Ems opisuje jedno z takich międzynarodowych miast na terytorium Niemiec. Władze kanadyjskie wyszukały ładne, czyste mastecko i ewakuowały z

niego ludność niemiecką. Następnie opróżnione miasto, podzielone na dzielnice: polską, francuską, sowiecką, włoską. Dziś mieszka tam ponad 2.000 Polaków, w tym bardzo wiele inteligencji deportowanej po bitwie warszawskiej.

W polskiej dzielnicy z każdego domu powiewają flagi polskie. 28 małych dzieci ci uczy się w przedszkolu, 101 dzieci starszych uczęszcza do normalnej 5-cio oddziałowej szkoły powszechnej. Ośrodek przekształca się obecnie w organizację samorządową.

Polaki samorząd (nie zarząd wojskowo-kapucynowy) w Grevan nad Ems. Zaden najdawniejszy przymiótnik nie odda egrmu z dawności: tej wojny. Czy kłokielnik z ras przypuszczal jeszcze rok temu, że w niemieckim Grevan będzie ulica gen. Sikorskiego, Aleje Wolności, świetlica im. gen. Okulickiego i że... łatwiej będzie o polski samorząd w Grevan nad Ems, niż w Warszawie.

Poprzedz Aleje Wolności, która przecina polską dzielnicę, maszeruje oddział harcerzy. Są to mali polscy chłopcy w wieku od 6 do 14 lat. Do niedawna jako więźniowie pracowali w fabryce nici w Nordhorn pod Lingen.

Wychudzeni, zbiedzeni maszerują jednak

hardo wybijając takt. Mury niemieckiego miasta powtarzają echo... „nie zginęła, póki my żyjemy!”

To jest wiara nas wszystkich.

III.

Dziennikarstwo przywykło do owej powodzi: depesz z całego świata, jaką przed wojną przynosił każdy dziennik — trudno jest pogodzić się z faktem, że szereg miast europejskich zamilkł, jakby się pod ziemię zapadły. Nie ma artykułów, reportaży, fotografii, depesz z Wiednia, z Budapesztu, Pragi, Bukaresztu, Krakowa, Warszawy, Tallina, Kowna, Rygi. Siedem stołic europejskich jest dla dziennikarzy niedostępnych.

100 milionów ludzi pogrążono w grobowej ciszy. Nasz zachodni informacyjny aparat tam nie sięga. Nie wiemy o nich prawie nic.

Cóż myśleć o wszystkich Dumbarton Oaks, San Francisco, Kartaku Świątobłego Porządku, gdy 100 milionów Europejczyków zamieszkujących pół-w kontynentu — wyłączonych zostało z normalnego życia.

I cóż, że w San Francisco opracowuje się podobno projekt nowego statutu prawa międzynarodowego w oparciu o cztery wolności Karty Atlantyckiej, gdy Europejczy na przestrzeni od Morza Niemieckiego po Triest, nie mają wolności słuchania innych stacji radiowych, nie mają wolności. Wiedzieć, co się tam dzieje, nie było może, co powie pan Stettinius, ile by mógł znów wżąć do ręki dawna przedświadczenia „Neue Freie Presse” czy „Morgenzeitung”. Gestapo zniknęło, ale „Neue Freie Presse” nie odżyła. Do Wiednia, Pragi, Warszawy — nie wrócił korespondent zagraniczny, reprezentanci wielkich agencji międzynarodowych. I odwrotnie w Londynie, Paryżu czy Waszyngtonie nie pojawili się korespondenci niezależnych pism warszawskich, wiedeńskich czy praskich, bo pism takich nie ma.

Wolność słowa jest fundamentem i sprawdzianem demokracji. Czyż nie należałoby gmaczu demokracji europejskiej odbudowywać od fundamentów, od podstawy?

Setki ludzi w Polsce, we Francji, Belgii czy Holandii płaćto życiu lub latami koncentracyjnego obozu za „zbrodnie” słuchania audycji BBC z Londynu. To są ludzie, którzy polegli w walce o wolność słowa. Czyż istotnie umierali oni; naprzód?

Na wolności słowa cpała jest cała nasza demokratyczna kultura. Przeciwnieństwem tej wolności jest niemieckie, faszystowskie, totalistyczne „Gleichschaltung”. Wybór winien być dawno dokonany.



Znakiż pocztowe puszczono w obieg przez „Rząd Tymczasowy” w Polsce z nadrukami gwiazdy sowieckiej z mottem i sierpniem, użymym znaczką wydawaną przez pocztę niemiecką dla tzw. Generalnego Gubernatorstwa

Nieświadomość ułatwia życie pospolitym zjadaczom chleba, a politykom pozwala na nieuczucie się z nieczym eksperymentowanie. Już Herbert Spencer zauważył, że tak się w tym życiu składa, że ludzkość wymaga większego znanstwa fachowego od szewców, niż od polityków i mężów stanu.

Ostatnio Emil Ludwig wywołał zachwyt u wszystkich kandydatów na mężów opatrznościowych tego świata artykułem, w którym oświadczył, że Roosevelt nie czytał książki Uttywarda i że odcięcie w przekonaniu, że wiedza i świadomość są całkiem niepotrzebne do „zrobienia kariery światowej”. Niestety, jest jeden kraj na świecie, który zajmując coraz bardziej decydujące stanowisko w dziejach świata nie podziela tej opinii negującej rolę wiedzy i świadomości. Wbrew marksowskiemu tezie, że to „byt określa świadomość” wprowadza on w życie zasadę: „naprzód określmy granice i elementy świadomości a byt... a w tym zakresie tam będzie! Człowiek — nie bydlę, wszystko wytrzyma!”

Korzystając więc z tego, że w Europie i na świecie właśnie wiedza i świadomość rzeczy przychodzą do stanu coraz większego upadku, przygotowywany jest w tym kraju niebyle jak materiał, potrzebny do utrudnienia konkretnej, a ad usum polityki własnej pomyślanej wiedzy i świadomości. A od pewnego czasu zdradane są nawet tendencje do natarczywego narzucania tej wiedzy i świadomości nie tylko własnym obywatelom lecz i wszystkim innym.

Z tego tytułu ciekawym dla nas — Polaków (a może nawet tylko dla Polaków) dokumentem jest recenzja „Zawzięcia w biuletynie Akademii Nauk ZSSR” (*) o opracowaniu brytyjskim pt. „The Cambridge History of Poland” (Cambridge University Press, 1941), obejmującym dzieje Polski od 1697 do 1935 r. Ta praca zbiorowa, zawierająca pracę znakomitego, nieżyjącego już dzisiaj historyka angielskiego prof. Harolda Temperleya, jest wspaniałym dokumentem tego obiektywizmu i spokoju w pojmowaniu dzieł ludzkości i narodów, które cechują tylko najwyższe kultury świata, oparte na praw-

dziwym humanizmie i szczerze pojmujące zasady ogólnoludzkiej demokracji.

Sowieckiej Akademii Nauk, (która jak wiadomo w państwie sowieckim w myśl konstytucji stalinowskiej nie jest instytucją niezależną, lecz podporządkowaną całkowicie polityce partii i państwa) praca ta zupełnie się nie podoba. Recenzja bardzo brydka, wyraża się o redaktorze i poszczególnych autorach tej książki. Odmawia ona prawa do znanstwa spraw rosyjskich światowej sławy historykowi prof. Rose. Profesorem Colemanowi z kolumbijskiego uniwersytetu zarzuca się szowinizm i tendencyjne „rusofobstwo”. A już gromy prawdziwe ciskane są na głowę lorda Kenneta za artykuł o Piłsudskim. Lord Kennet — pisze biuletyn Akademii Nauk — to reakcjonista...! pretekst gen. Sosnowskiego (ciż jak widzimy argument naukowy).

Autorzy polscy nie mogą wobec tego mieć pretensji do większej pobłażliwości. Prof. Kutrzeba przedstawiany jest jako typowy „wrog ludu” i „szkodnik”, a wprost nie wypada mi zacytować na łamach pisma wyświeckowej sowieckiej opinii o pracy gen. Kukuła. Bardzo to bowiem spełnia opinia. Profesora-generała winien chyba jednak pocieszyć fakt, że jako „reakcjonista”, „faszysta” i (co rozumie się między wierszami) „hitlerowiec” jest on wspomniany z równą pasją, jak i... prof. Wilhelm Feldma, który doczekał się przy sposobności, wprawdzie o czterech wiekach później, lecz tym niemniej bardzo obelżywej wzmianki o swoich znakomitych „Dziejach polskiej myśli politycznej”, jako o pracy „germanofilskiej”.

„Naukowca” recenzja Akademii Nauk napisała jest stylem mało wybornym i używa argumentów niewiele mających wspólnego z nauką, a jak najbardziej typowych dla ogólnego poziomu prasy i publicystyki sowieckiej. W warszawskim żargonie dziennikarskim nazywało się takie coś — „pyskawką”.

Tym bardziej więc na miejscu jest pytanie: skądże taka namiętność w szko-

waniu już nie tylko historiografii i historyków polskich lecz i historiografii i historyków brytyjskich, którzy „ośmielił się” z obiektywizmem właściwym uczonym wielkiej miary potraktować ściśle i wiernie dzieje naszego narodu.

P. Zawzięcie, referując pretensje swojej Akademii Nauk i jej politycznych mocodawców nie usługuje nawet pod płaszczykiem polemiki naukowej ukryć tego, o co mu chodzi. Pretensje jego są nawiąskosłowne i sprawdzają się z grubszą biorąc do następujących rzeczy:

1. „Cambridge History of Poland” stwierdza, że rosyjska kultura nie wywarła żadnego wpływu na rozwój ideowy Polski. Sowiecka Akademia Nauk twierdzi, że wpływ ten był dominujący.

2. „Cambridge History of Poland” nie uwzględnia decydującej roli rewolucji bolszewickiej w odbudowie Polski w 1917-18 r., która powstała przeciw tak dobrze, jak tylko dzieje leninowskiej deklaracji o prawach narodów do samostanowienia.

3. „Cambridge History of Poland” nie przedstawia Piłsudskiego i legionów jako agentury niemieckiej (n.b. recenzent zapomniał zupełnie, że gdyby historycy europejscy zdecydowali się zająć w tej sprawie takie stanowisko, to musieliby również określić jako agenturę niemiecką w tym okresie Lenin i partię bolszewicką, również dzierżących do kapitulacji Rosji i w pewnym sensie, dzierżących na rzecz państwa centralnych. Nie trzeba chyba dodawać, jaki to byłby absurd i jaka obydła).

4. „Cambridge History of Poland” ośmieliła się napisać, że „w 1939 r. Polska została poddana rozbirowi bardziej jeszcze skrutcom niż rozbirowi XVIII wieku”.

To chyba wystarczy i chyba dziecko zrozumie, o co sowieckiej „Akademii Nauk” i jej chlebodawcom chodzi. Znaczący przy tym należy, że recenzent nie przedstawia na „pyskawkę” tylko krytykę tematu. Synteza jego jest nienajmniej daleka idąca. Mówi się w niej wręcz o „podejrzanych

podobieństwie tekstu „Cambridge History of Poland” do tego „co na ten temat pisano w Berlinie”. Słowem w tym wypadku nie tyle GPU, ile Akademii Nauk przypada zasługa wykręca nowego gniazda „hitleryzmu”.

Fogład sowieckiej Akademii Nauk nie jest nowością w historii rosyjskiego pojmowania dzieł Europy a zwłaszcza narodów przez Rosję podbijanych i towarzyszący temu pojmowaniu stałej tendencji narzucania poglądów rosyjskiej kauce europejskiej. Tak m. in. w ciągu XVIII i XIX wieku, zażądano się z historią Ukrainy, która z odrębnego państwa, dążącego gospodarczo, duchowo i politycznie ku Zachodowi przedstawiona została z biegiem czasu, jako integralna część Rosji nie posiadająca własnej, odrębnej historii.

Trzeba przyznać jednak, że gdy taka „inflacja” rosyjskiej wiedzy w tym kierunku rozpoczyna się, Europa była przez nią porażona. Gdy w końcu wieku XVIII w Rosji panowała idea, że wszechmogący, uciek i terror pańszczyżny, które doprowadziły w końcu do rewolucji Pugaczowa, Katarzyna II pisała do Woltera, że w Rosji każdy chłop je codziennie kurę, a od pewnego czasu kury mu się „przejadły” i woli już indyki (autentyczne). Liberale i wolnościolubcy rosyjskich, jak Nowikowa czy słynnego Radiszczewa, którzy pisali prawdę o katolizmie życia mas rosyjskich, więziono, torturowano i mordowano. Lecz Wolter wyraził w legendzie o indyku i gicryfikował caryce: „Te Catharinas padnosu, te dem m'nam confitemur!” Ale co tak Wolter! Trembecki pisał: „My nadzieję mamy, że nam od niej gojące porłyną balsamy”. A Naruszewicz tak chwalił dworaków Katarzyny: „Dorodni, oświeceni i pełni zaszczytów, hęzą grzeszność wersalską z walecznością Seytów!”

Lecz równie niewiele z tych pochwał i hymnów zostało w historii tych czasów, jak niewiele pomogła inkwizycja Zawzięcia, przysługująca historyków humanistycznych do poborządkowania historiografii i interesom politycznym. Chyba, żeby przysług zamiast pomocy stał się prawem, nie tylko dla szóstki części lecz i dla całego świata.

Ryszard Wraga

(*) „Izwiestia Akademii Nauk ZSSR — seria historii i filozofii”, t. I, Nr. 4. Listopad 1944.

Wojnę wygrała ziemia

Gałązka oliwna była za dawnych czasów symbolem końca wojny. Gałązka rozmarynu symbolem wprowadzenia okopów, ale i radości w nich, nadziei, że przyszedł koniec kresu. Jaki będzie symbol tej wojny? Nie pozostaje po niej złote gałązki, które by mogły dać radość oczom. Niezwykła pozostała ziemia. Szara i zielona, proźna i bujna, pustynna i stepowa, błotnista i piaszczysta, pokryta, skalista i miękka dla ciała, której uroda i urodzaj, której lice i całość pozostały niezmienione, a tylko powiększone o gruby — płytki i głębokie, zbiorowe i pojedyncze, z napisami i bez nich, na cmentarzach, w ogrodach, rowach przyszytych na polach i w bagnach, pod wyszarganymi mostami i w gruzach, wszystko jedno z jakim ciałami, i tak się z nią stopia.

Wydało się, że będzie chwila, w której trąbka oznajmi przerwanie działań. Że wtedy wyjdą z okopów naprzeciw siebie żołnierze i bez czułości podojdą do siebie, popatrzą sobie w oczy i powiedzą jedno słowo: „koniec”. I że wtedy będzie minuta radości, tak jak jest minuta milczenia. Nie było jednak radości ni minuty. Nie było trąbki. Nikt nie powiedział „koniec”.

Kampania włoska będzie związana z imieniem Polski. Przede wszystkim przez Cassino i Bolonję. Tamto był początek ostatecznego uderzenia, to, po roku, był ostatni cios. Po Bolonii już nie było większych walk. Szluszne są słowa dowódcy VIII Armii: „Odegrał się decydujący rolę w tym wielkim zwycięstwie”. Bolonia, to był nowy Grunwald. Decydujące zwycięstwo nad Krzyżakami. Trzykrotnie dłużej we Włoszech naprzeciw wojny. Z Korpusu najlepszej wojska niemieckiej — dywizje spadochronowe. Te, o których mówili Niemcy, że „wszędzie i zawsze duch spadochroniarski i walka spadochroniarska triumfuje nad masą i materiałem”. Krzyżacy jeszcze w przeddzień swej strasznej klęski wydłubali polskim żołnierzom oczy, urzynali języki i nosy, jak niedźwiedź na zanku małborskim i we wrześniu 1939 w Gdańsku. Zastrzelili kapłana przy spowiedzi. Była to niemiecka Grupa Armii „C”. Wiosna, dekadą i czterdzieści, dwadzieścia spadochronowe, 1, 4, 26 pancerna, 29 i 90 granadierów pancernych, 305 piechoty i wiele innych. Walczyli prawem niemieckim — „wojna jest ponad prawem moralnym” (Hegel).

Okrucieństwo już dziś nikogo nie wzrusza. To stary rekwiwit do wywoływania wzruszeń. Długa wojna działa znieczulająco, jak środki lekarskie przed najstraszniejszymi operacjami. Któryś żołnierz nawet powiedział: „Ja wojna, to same komedie”. W każdym razie błogosławione jest krótkie życie i krótka pamięć człowieka. Gdyby człowiek długo miał żyć i mieć napiętą pamięć, byłby albo potwornie okrutny albo tak litościwy, żeby z głodu przymierał. Prawo wojny jest krótkie. Kodeks wojenny zrzucałi wraz z bombami lotnicy anglosaszy. Były to ulotki z napisem: „Wer nicht aufgibt, der wird vernichtet”. („Kto się nie podda, będzie zniszczony”).

Wiele tych ulotek, gonit wiatr przed porażonymi domami, gdzie spłonęło od bomb wszystko, a tylko czarne trupy niemieckich żołnierzy tliły się jeszcze. Krew na resztkach ich ciał była widoczna. Ludzka krew jest mocniejsza od ognia. Ci Niemcy strzelali do żołnierza. Gdzieś koło Imoli stoczył się w rów spalony polski ciotek. Naprzeciw jego lufy grób. Na nim sześć podartych hełmów niemieckich, tak ułożonych ciasno koło siebie, że przypominają pisklęta w gnieździe jaskółczy. To ci zapłacił rachunek za ciotkę polską.

Tak historia grała ostatnie akordy

Nowe książki

Wolność tragiczna — Kazimierz Wierzyński — cena za egz. 60 lirów.
Polska, a „Kapitałistyczna interwencja” w stosunku do Z.S.R. 1918-1920 — Bernard Andrieu — cena za egz. 40 lirów.
Nurt — Wacław Berent — Rzym 1945 — cena egz. 100 lirów.
O powołaniu naszego pokolenia — Andrzej Brzozwa — cena za egz. 10 lirów.
Wojna sowiecko-niemiecka 1941-1945 — Ryszard Wraga — 65 lir.
Cele wojenne Polski — Adam Pragier — cena za egz. 75 lirów.
O rewolucji — Ryszard Wraga — cena za egz. 40 lirów.
szereżmowa diabły pod Arnhem — Marek Świąciecki — cena za egz. 60 lirów.
Kraj bez Quislinga — Stefan Tadeusz Norwid — Rzym 1945 — Cena za egz. 100 lirów.
Żywi i umarli — Gustaw Herling-Grudziński — cena za egz. 40 lirów.
Poza tym na rynku księgarskim ukazują się książki p.t.:
„Sprawiedliwość sowiecka” — Sylwester Mora i Piotr Ziemiński — Włochy 1945 — cena za egz. 200 lirów.

wojny. Tak przeszedł jej tajfun. Między Faenzą a Bolonią nie można mówić o ruinie domów czy miast, to jest ruina kraju. W Castel Guelfo, w jednym z tych miast, gdzie nie pozostało nic, a tylko jakieś ludzkie cienie, cienie te mówiły: „Jaka ruina — przez czterech Niemców!” W Solorio nie było nawet ludzkich cieni. Nocą księżyc wywabiał z ziemi zapach trupów i wina.

Na drodze emiliańskiej obok Krwawego Potoku (Sanguinario) stół rozbito kościółce Świętej Marii Pokoju (Santa Maria della Pace). Kto wie, czy w tej wiosce najwięcej nie ucierpiali kościoły — za to, że głosy pokój? A jednak na drzewach przydrożnych spotka się napisy: „Jesus saves!” („Jezus zbawia!”). Na trasie amerykańskich bitew w Apeninach spawane przeznaczone są dla niebios i ludzi: „Save our supplies!” („Zbaw nasze zapotrzebowanie!”).

Pobojowisko, to jest pojęcie niewiele dni. Potem gdy się zabliżają rany ziemi, która wygra każdą wojnę z człowiekiem, pozostaje tylko krajobraz. Teraz jeszcze się pobojowisko: miasta leżą w gruzach lub stoją w ruinach, drogi rwą się na każdym mechu, czołgi zarośnięte pałą, zielono bujne i niewyżęte pokrywa ziemię między trzaskami, drzewa leżą powalone, dogasają pożary i tyle wala się sprzętu wojny. Wojna, jak żywe srebro, rozlewa się wszędzie. Nie ujdzie przed nią w góry ni pod ziemię, nie odwrócić się do niej tyłem, nie oszukać jej ognia, choćbyś się jak mysz przytulił do ziemi. Ziemia chce sama wygrać wojnę — bez sprzymierzeńców. Ziemia nie wierzy ludziom. Nie zawiera z nimi paktów. A człowiek niezawia wrogi ziemi. Cuda jej łona, jej krajobraz widzi w czasie wojny jako teren obrony i ataku. Góry są pozycją

obronną, miasta fortałmi, wieże punktami obserwacyjnymi, rzeki przeszkodami przeciwnym, lasy i parki zasłoną, drzewa zapora, łany zboża maską.

Jeszcze miot wojny bije z furii w ziemię. Tylko, że już jest pewne, że koniec bliski. Straszny jest odwet. To już jest marsz triumfu. To jest więcej, niż polski Wrzesień. To są popisy słańca nad cherlakami. Pada na ziemię wielki cień skrzydła i pancerza. Już dosłownie stają się zwycięstwa żołnierskiego po niemiecku „Hals und Beinbruch” („Łam kark i nogę!”), niemieckie „achorsamer Dank” („najposłuszniej dziękuję!”). Wojna wygasa jak ognisko nad ranem, cichnie jak burza, odchodzi jak odpływ morza. Na nie przysła się nazywanie rozkazów „Święta wola”, na nie konkursy z nagrodami gazetki dywizyjnymi na odpowiedź, dlaczego szkodzić jest mówienie o pokoju. Na nie tłumaczenie, że bomby nie są straszne, bo tylko ze względu geologicznego ziemia drży po wybuchu w promieniu 500 m, a jej jej z wysokości 5 km wynosi tylko 300 m na sekunde. Na nie rozwieszające ducha broszurki o pięknych pańienkach (np. „Schneewitchen” — „Śnieżka”) i drwiny z tych, co „odchodzą do ojczyzny, aby tam zadośćuczynić rozkazom do ludności”. Na nie tradycja afrykańska — jej „stolzes Ehrenkleid” („dumny klejnot”).

Nocami, zanim jeszcze ogłoszono zwycięstwo, huczały samoloty. Korzystał z tego korszarze niemiecki i resztki swych maszyn dopadali jak nocne pułapki kolonistów i innych celów. Ostatni akord przypominał strach pierwszych dni wojny, refren nocnych przebudzeń i wizji pożarów nad Polską, nad Aleksandrią, nad pustynią, nad Turburiem, nad światem. A dalej w

dzień już coraz częściej białe chorągwie — kolor przysięgów, między czerwioną wstawką a trójkolorowym włoskim, między ostatnimi strzałami a złożeniem broni. W chacie, skąd dopiero co Niemcy uszli, niewprawy napis na ścianie, pisany widac w ostatniej chwili odwrotu: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Na zewnątrz napis „belegt” zastępuje nowy „zajeto”. W gaju obok drogi Gurkowie grzebią swych poległych w bitwie o Medicina. Jakaś emblemata wiatru na grobach, — znak wojkowy, dwa krzyżowane szablony na zielonej tabliczce. Za Idice piechotę mająją wozy Karpacielskich Ułanów. Spieszą do Bolonii. Piechota ma duże laurów; nie potrafi występować par radnie.

Wojsko stanęło na miejscach domarszu, gdzie będzie oczekiwało albo trąbki pokoju albo nowych walk. Przepasza się z ziemią, z jej zielenią, z jej cudami. Chłonie ją pełnymi piętami. Żołnierz patrzy na pole szczonej bitwy, jak marny na morze z czołgi. Znowa się od śpiwu słowia. Zielonych łaj wojny. Gdzieś tam z bardzo duża zaświeci jeszcze luna, błysną odległe baterie i przywędruje grzmot z oddali — „muzyka coraz cichsza, coraz dalsza”. Włosi podnoszą jeszcze oczy ku niebu, gdy zawrzą silnik samolotu i mówią „ciężona”, („konik polny”). Ale już wychodzą do prac polnych. Wiedzą ich zadrósny wzrok. Wojna jest bezwzględna. Ale mocniejszy nad nią jest kalendarz rolniczy. Gdzie wojna uciecha, wracają pląsk. Jest ich coraz więcej. Znowa się od śpiwu słowia. Zielonych wojny triumfuje.

Koniec wojny ogłoszono dnia 8 maja. W dzień świętego Stanisława, o którym legenda głosi, że zrosił się jego męczennym porbane części ciała. Z odbiornika radiowego płynęły tego dnia marsze za marszami. O godzinie drugiej po południu oficer informacyjny zdejmując z mapy Ścieńce „Wielkich Niemiec” kulkę, na którą nanosił się codziennie sytuację na frontach. Nie będzie już potrzebna. Nie ma frontów, nie ma „Wielkich Niemiec”. Jest taka piosenka włoska:

„Auf widersehen!
Tu vuo: dirme: ci rivedem!
Auf widersehen!
Ma uniti più non saremo!”
Tak Niemcom śpiewali sentymentalne Włoski:
„Do widzenia!
Chciałeś powiedzieć, że się zobaczymy!
Auf Wiedersehen!
Ale się już nigdy nie połączymy!”
Wieczorem smutno pionoły rakiety w dalekich okolicach brytyjskich. Na ścianie rozbitej kamienicy na przedmieściu Bolonii pozostał napis, głoszący, że „wiek XX będzie wiekiem faszyzmu”. Pod nim pojawił się nowy: „It's all over”. („To wszystko przeszło”).

Następnych dni ciągnęły na południe niekończące się kolumny jeńców niemieckich. Na cmentarzu w Quarto pod Bolonią (leż jest także cmentarz) stoją długie rzędy żłazanych ciał, malowanych na drzewie. Pod nimi wiele takich nazwisk, jak: Rójkiewicz, Łysko, Petryśsyn, Szyszowski, Bies, Buzek, Gruchinsky, Perkowski. Ostatni krzyż bez nazwiska ma datę 10 kwietnia. Potem jeszcze jedna mogiła nie ma już i krzyża. Nakopali się Niemcy włoskiej ziemi...

Brytyjczycy ogłosili, że ministerstwo oświaty rozpoczęło pracę nad historią wojny. W Londynie zasadało 12 historyków, by przestudiować kroniki i rozkazy jednostek aż do plutonów włącznie, meldunki sytuacyjne, opowiadania jeńców, wyniki z wojskowych gazet, relacje oficjalnych obserwatorów i reportaże korespondentów wojennych. Z tego przestudiowanego narytowanego strumca dopiero na koniec ma napisać historię wojny wybrani historycy. Czelnierze brytyjskie i amerykańskie przystępują do opuszczenia Italii. Nawet w jakiejś gazecie angielskiej był zamieszczony taki, niedługo tu tłumaczony, wierszyk p.t. „Dopo la guerra”:

„Kedy zobacze turystyczny afisz.
Zachwytający piękno Italii.
Uśmiechnięt się tylko tak, jak Stinks
I niech nie myśli Cook ni Orvis.
Ze „gręba kolców” może zwać.
Będą wrzuci do swoich domów, będą się śmiały z wrzasków wojennych. Tylko serca polskie pozostaną niemaszone. Ale wojnę wygra ziemia.

Poszukiwania

Żołnierze poszukujący swoich krewnych i znajomych, którzy mogli być uwolnieni przez wojska sprzymierzone w Niemczech i krajach okupowanych, winni zwrócić się do Polskiego Czerwonego Krzyża w Londynie (Polish Red Cross - 34, Belgrave Square, London S. W. 1) przesyłając swój adres wojskowy, nazwisko, imię i stopień oraz nazwisko, imię, datę i miejsce urodzenia lub przypuszczalny wiek osoby poszukiwanej.



Kard. Hlond wśród dzieci wygnanych polskich z Niemiec w obozie pod Rzymem

WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R. P. Syndykat „Włochy”

Dnia 14 czerwca 1945 r. odbyło się w Rzymie walne zgromadzenie członków Związku Dziennikarzy R.P. przebywających na terenie Włoch. Po ukończeniu obrad, weszli członkowie Syndykatów krajowych przebywających we Włoszech, zebranie zajmowało się najpilniejszymi sprawami organizacyjnymi i zawodowymi. Walne Zgromadzenie postanowiło wystosować do Ministra Informacji, Dowódcy 2 Korpusu i Prezesa Związku Dziennikarzy R.P. następującą depeszę:

Dziennikarze polscy, członkowie syndykatów krajowych, przebywający na terenie Włoch, zebrani na walnym zgromadzeniu w dniu 14 czerwca 1945 r. w Rzymie, w chwilach wyjątkowo ciężkich i niebezpiecznych dla sprawy polskiej, stwierdzają niezłomną wolę wytrwania przy szlendarze Polski niepodległej, całej i suwerennej, którą reprezentują jej galne władze cywilne i wojskowe Rzeczypospolitej.

W służbie dla ojczyzny naprawdę niepodległej, nieuszczerpkanej na Wschodzie a rozszerzonej o pastarce ziemi polskie na zachodzie i północy, nie ustaniemy zarówno jako pracownicy pióra, jak też jako żołnierze.

Pomado uchwalono następujące rezolucje:

1. Na ziemię państwa polskiego zajęte dziś przez wojska sowieckie nie mają wstępu dziennikarzy zagraniczni, na ziemiach tych nie ukazuje się wojska prasa,

nie wolno tam nawet rozpowszechniać wiadomości, podawanych przez agencje prasowe. W Brytani, Stanów Zjednoczonych oraz państwach neutralnych, całej ludności sąsiedztwa rad odbiornika odcinając ją od świata.

Walne zebranie członków Związku Dziennikarzy R.P. Syndykat „Włochy” — protestując przeciwko bezprawu, którego ofiarą pada całe państwo polskie — stwierdza, że kraj, w którym nie ma wolności prasy, który jest jednocześnie zamknięty dla swobodnego obrotu wiadomości i korespondentów — nie jest krajem wolnym, a ustroj, pod jakim się znalazł, przeżywa elementarnym pojęciem wolności i demokracji.

Walne Zebranie Zw. Dz. R.P. Syndykat „Włochy” apeluje do całej wojennej prasy światowej, by stanęła w obronie wolności słowa drukowanego w Polsce.

2. Walne zebranie Zw. Dziennikarzy R.P. Syndykat „Włochy” wyraża zdziwienie z powodu nieodpuszczenia prasy polskiej i książek polskich na teren B. Rzeczypospolitej dla setek tysięcy przebywających tam pracowników Polskiej, przerwanych z latami wojny. Władze polskie i światowe, którzy stawili czoła armii Hitlera, oraz ofiar tyrantii natowdowsko-socjalistycznej.

Dopóki Polska w Niemczech nie będzie mogła otrzymywać prasy polskiej i książek wydawanych na wygnaniu, jak i rozwijać swobodnie własnej prasy, nie będą mieli poczucia, że są na wolności, na którą w pełni zasłużyli.

Rosyjskie gwarancje bezpieczeństwa

PAT w komunikacji z dnia 22 maja r.b. podał, że Rząd Polski jest w posiadaniu dokumentów stwierdzających w sposób niewątpliwy w jakich okolicznościach delegat na kraj wicepremier Rządu Polskiego Jan Jankowski, trzech urzędujących w Kraju ministrów Rządu Polskiego, ostatni Dowódca rozwiązanej Armii Krajowej generał bryg. Okulicki i 8 członków stronnicy politycznych zostali przez władze sowieckie zaproszeni na rozmowy, które zakończone zostały aresztowaniem ich wszystkich. Obecnie dokumenty te publikujemy. Są to listy pułkownika gwardii Pimienowa do wicepremiera Jankowskiego i gen. bryg. Okulickiego z dnia 6.III.45 r. Z obu tych dokumentów wynika, że spotkanie powyższe nastąpiło z inicjatywy sowieckiej i że zaproszeniem nadano charakter przynajmniej przy zapewnieniu całkowitego bezpieczeństwa osobom zaproszonym. Przypomnieć trzeba, że nazwiska i pseudonimy osób zaproszonych podane zostały uprzednio do wiadomości rządu sowieckiego przez rządy W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Zawiadomienie to nastąpiło w normalnej drodze dyplomatycznej.

Do Delegata Rządu w Kraju
p. Jankowskiego

„Moje dobre chęci i skromne dążenia, które sądzę znajdują u Pana niewątpliwie najwyższe poparcie i względy, sprawdzają się tylko do tego, ażeby umożliwić Panu spotkanie w dniach najbliższych z przedstawicielem Dowództwa i Białoruskiego Frontu generałem-pułkownikiem Iwanowem. Widzę oczywiście trudność tego przedsięwzięcia, lecz mając na uwadze jego bezwarunkową konieczność i ogromną jego doniosłość, czego nie można wyłożyć w tym krótkim liście, uważam, że wspomnianie spotkania Pana z generałem-pułkownikiem Iwanowem może, bezwarunkowo winno zdecydować to, co bódaj nie dałoby się rozstrzygnąć szybko na innej drodze. Wzajemne zrozumienie i zaufanie pozwolą na zdecydowanie bardzo ważnych zagadnień i nie dopuszczę do ich zaostreżenia.

„Jednocześnie proszę pana Jankowskiego o wybaczenie dotychczasowych trudności w organizacji tego spotkania, wynikających z tego, że terminy uprzednio ustalone w tym celu z generałem-pułkownikiem Iwanowem dawno już minęły. Lecz mam nadzieję, że generał-pułkownik Iwanow będzie uprzejmy i weźmie pod uwagę moje argumenty dotyczące tego spotkania i że w dniach najbliższych będzie ono mogło mieć miejsce. Ze swej strony, jako oficer Czerwonej Armii, któremu przypadło w udziale tak wielce ważna misja, całkowicie gwarantuję Panu słowem oficera, że od chwili Pańskiego przyjazdu do nas Pański los będzie zależał ode mnie i będzie Pan w całkowitym bezpieczeństwie.

„Licząc na nasze szybkie spotkanie i przesyłam Panu moje uszanowanie. Proszę zawiadomić mnie natychmiast o swojej decyzji”.

Z rozkazu: Pimienow, pułkownik gwardii.
Pruszków, 6.III.45 r.

Generał Brygady
Niedźwiadek - Okulicki
do rąk własnych

„Moje dobre chęci, które jak sądzę, bez wątpienia znajdują u Pana najwyższe poparcie i względy, sprawdzają się do tego, ażeby umożliwić Panu spotkanie w najbliższych dniach z przedstawicielem Dowództwa i Białoruskiego Frontu, generałem-pułkownikiem Iwanowem. Zdarzę się oczywiście sprawę z trudności tego przedsięwzięcia, lecz mając na uwadze jego bezwarunkową konieczność i jego ogromną ważność, czego w tym krótkim liście niepodobna wyczerpać, uważam, że wspomniane spotkanie powinno się odbyć jak najprędzej. Mogę tylko powiedzieć jedno, że przypuszczalne spotkanie Pana z generałem-pułkownikiem Iwanowem może rozstrzygnąć i bezwarunkowo rozstrzygnie to, co bódaj nie dałoby się rozstrzygnąć szybko na innej drodze. Wzajemne zrozumienie i zaufanie pozwolą na zdecydowanie bardzo ważnych spraw i na niedopuszczenie do ich zaostreżenia. Na razie proszę Pana, Generale, docenić i moje trudności w organizacji tego spotkania, wynikające z tego, że uprzednio ustalone w tym celu terminy z generałem-pułkownikiem Iwanowem dawno już minęły. Mam jednak nadzieję, że generał-pułkownik Iwanow będzie się liczył z moimi argumentami i że to spotkanie będzie mogło się odbyć w dniach najbliższych. Ja zaś ze swej strony, jako oficer Armii Czerwonej, któremu przypadło w udziale tak wielce ważna misja, całkowicie gwarantuję Panu słowem oficera, że gdy Pański los od Pańskiego przyjazdu do nas będzie zależał ode mnie, będzie Pan w całkowitym bezpieczeństwie. Licząc na szybkie spotkanie przesyłam Panu moje uszanowanie. Proszę zawiadomić mnie o swojej decyzji”.

Podpisane: Pimienow, pułkownik gwardii
6 marca 1945 r.

Oświadczenie Kom. Zagr. P.P.S.

Komitet Zagraniczny P.P.S. stwierdza, że jeszcze w dniu 18 marca r.b. b. minister Jan Stańczyk usunął się od udziału w pracach Komitetu. W tym czasie wczaję! on

DOKUMENTY

działalność polityczną na własną rękę i na swoją osobistą odpowiedzialność, bez wiedzy i zgody Komitetu. W ten sposób wbrew regułom życia partyjnego i obyczajom organizacyjnym, uznał się on za zwolnionego z obowiązków ciążących na każdym członku Partii. Tym samym Komitet Zagraniczny P.P.S. już od dnia 16 marca r.b. nie ponosi odpowiedzialności za samowolne wystąpienia polityczne b. ministra Jana Stańczyka

Komitet Zagraniczny P.P.S.
Londyn, 14 czerwca 1945.



Stalin i Ribbentrop po zawarciu paktu przysięgi w 1939 r.

List Juliusza Zakowskiego

W związku z rozbieżną interpretacją motywów, które skłoniły p. Juliusza Zakowskiego do odmowy wzięcia udziału w rozmowach moskiewskich — podajemy poniżej w dokładnym przekładzie tekst jego listu z dn. 13.VI.45 skierowanego do brytyjskiego Foreign Office.

Szanowny Panie,

Potwierdzam odbiór pisma Pana z dnia 12 bm. Nr 6699 U/G. Pragnę podziękować Panu za propozycję zawartą w nim, której, ku mojemu żalowi, nie jestem w stanie przyjąć.

Decyzja ma jest podyktowana mym poczuciem odpowiedzialności. Będąc architektem z zawodu, nie brałem nigdy czynnego udziału w polityce. Przypuszczam przeto, że nie jestem właściwym człowiekiem do brania udziału w naradach nad sprawą o takiej wadze, zwłaszcza gdy kraj mój znajduje się w tak trudnej sytuacji.

Pozostaję etc.

J. Zakowski.

Premier Arciszewski o Polakach w Niemczech

W czasie swego niedawnego pobytu w Szkocji, premier Arciszewski udzielił wy-

brytyjskich i kanadyjskich towarzyszy broni. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ofiarę, jakie żołnierze polscy ponieśli dla wspólnej sprawy, uważam, że mają oni prawo — podobnie jak np. Francuzi — otrzymać część terytorium niemieckiego pod okupacją. Pozwoliłoby to jednocześnie na zwolnienie części wojsk brytyjskich, które by mogły być zdemobilizowane lub wysłane do walki przeciwko Japonii.

„Następnie premier Arciszewski z głębokim smutkiem omówił dolę Polaków, którzy zostali uwolnieni w Niemczech. Kiedy ci Polacy zobaczą swoich szkockich, angielskich i amerykańskich wybaczenieli z obozów koncentracyjnych i przy masowych robót, radząc ich nie miażdżać, ich entuzjazm był olbrzymi. Ale kiedy miały tygodnie i nie nadchodziły żywność, środki lecznicze i książki, zaczęła ich ogarniać depresja. Nie mają oni oficjalnego kontaktu ze swoim rządem i nie posiadają dzienników, nie wiedzą co się dzieje na świecie.

„Wielu z pośród nich zostało zatrzymanych w tych samych obozach, gdzie byli głodzeni i torturowani. Inni pracują nadal u farmerów niemieckich, u których byli zatrudnieni przed wyzwoleniem. Byli na-

wet wypadki, że Polacy, na skutek głodu uciekli od swoich niemieckich zwierzchników i byli sążeni przez sądy niemieckie — już po wyzwoleniu. Zdarzyły się nieliczne wypadki, że oficerowie amerykańscy wydali rozkaz swoim żołnierzom niebrać na się z Polakami, stawiając ich na tej samej płaszczyźnie co Niemców.

„Rezultatem tego wszystkiego jest to, że tysiące Polaków, zapomniało o sobie i o swoim państwie, zapomnieli i o znaczeniu ogarniać coraz szersze masy. Odnosi się to tylko do Polaków przebywających po wschodniej stronie Renu.

„Problem wyżywienia Polaków w Niemczech jest bardzo ciężki. Ouzymają oni obecnie mniej żywności nawet od niemieckich jeńców wojennych. Odnosi się to również do brytyjskiej zony okupacyjnej. Kiedy minimum wyżywienia wynosi 2400 kalorii dziennie — to Polacy otrzymują 2400 kalorii.

„Mimo tych ciężkich warunków tylko 150 polskich oficerów łącznikowych zostało wysłanych do opieki nad Polakami. Obiecało, że przy Szaelie (Naczelnym Dowództwie Aliantów), będzie 400 polskich oficerów łącznikowych współpracujących również z 10-skim Czerwonym Krzyżem, ale nagle wstrzymano ich wyjazd. Polacy w Niemczech potrzebują lekarzy, pielęgniarek i środków leczniczych. Należy jednak zaznaczyć, że w niektórych obozach tak jak np. w Belsen, Brytyjczycy bardzo wydajnie pomogli Polakom.

„150 polskich oficerów łącznikowych ma olbrzymie trudności w wypełnianiu swoich obowiązków ze względu na brak środków transportu, co uniemożliwia im zapewnienie się Polakami rozproszonymi po całym terytorium Niemiec.

„Dla pewnych przyczyn oficerowie polscy są nadal trzymanymi w Oflagach, gdzie byli więzieni przez Niemców. Oficerowie ci są niedożywieni i otrzymują obecnie żywności tylko z posztek. Te warunki zmusiły niektórych z pośród nich do kradzieży ziemniaków z pól”.

Na pytanie, czy Polacy w Niemczech wracają do Polski? — premier Arciszewski oświadczył, że zna parę wypadków, iż do niektórych obozów przybyli oficerowie rosyjscy, mówiący po polsku i zabrali stamtąd wszystkich Słowian. Byli wśród nich również Polacy.

Następnie przedstawiciel „Scotsmana” zadał prem. Arciszewskiemu szereg pytań dotyczących sytuacji w Polsce.

Premier Arciszewski stwierdził, że do Polski nie są dopuszczani korespondenci dzienników zagranicznych i że otrzymuje z Kraju prośby, by przedstawiciele prasy zagranicznej mogli tam przybyć i sami ocenić istniejące tam warunki.

Po aresztowaniu 16-u Polaków Rada Jedności Narodowej została zreorganizowana i nadal spełnia swoje zadanie w zastępstwie aresztowanych.

O warunkach we wschodniej Polsce może świadczyć fakt, że wiele wieśsk zostało otoczonych przez milicję komunistyczną, dowodzoną przez przedstawicieli N.K.W.D. w celu pobrania siłą do armii wszystkich mężczyzn a nawet i kobiet poniżej 40 lat. Pozostawiono tylko starców i dzieci. Ludność zareagowała w ten sposób, że uciekała do lasów. Lasy te były bombardowane przez samoloty rosyjskie, chcąc uniknąć dalszego strachu. Rada Jedności Narodowej wydała zarządzenie, by ludność nie chroń się do lasów.

Rząd lubelski mobilizuje lekarzy i pielęgniarki. W Polsce panuje ogólna obawa, że zostaną oni wysłani do wschodniej Syberii.

Na pytanie dziennikarza, czy Premier ma jakieś nadzieje na najbliższą przyszłość? — prem. Arciszewski oświadczył, że uważa, że ogólna sytuacja ulega pogorszeniu. W San Francisco Rosja wybiera coraz silny nacisk. Trudno będzie stworzyć jakąś wydajną organizację międzynarodową, jeśli w niej jedno mocarstwo ma dominować.

We wschodniej i środkowej Europie Rosja organizuje trudną pracę, którą są pod rozkazami Moskwy. Rezultatem tego będzie to, że te wszystkie państwa słuchające Rosji będą tworzyły stałą większość na wszystkich konferencjach międzynarodowych. Rosja stanie się panującym mocarstwem nie tylko we wschodniej Europie ale w ogóle w całej Europie. Mobilizuje się w marionetkowych państwach wielkie armie dowodzone przez oficerów rosyjskich.

Kończąc wywiad, prem. Arciszewski oświadczył, że w obecnej chwili najważniejszą rzeczą dla Europy jest pokój. Dla pokoju walczyli i cierpieli wszystkie narody. Nadszedł obecnie czas, by zażądać od Rosji uwolnienia tych krajów, które pozostają pod jej dominacją. Jednej rzeczy tylko te wszystkie kraje pragną: odbudowy i spokoju. Prem. Arciszewski nie uważa, by wopanowanej przez Rosję Europie odbudowa była łatwa. Oskarża się nawet takie małe państwa, jak Szwajcarię, o faszyzm. Premier Arciszewski chciałby, by uczucie bojaźni w stosunku do Rosji zostały zastąpione przez zaufanie i przyjacielską współpracę.



Polakie dziecięta przybyte z obozów pracy w Austrii

Fot. K. Hrynkiwicz

Wszystkie te chwytły moskiewskie nie
wraża nic dobrego dla przyszłego rozwoju
tęsońków pokójowych między aliantami.
Tam gdzie atmosfera ucziwości, ustępstw,
wzajemnej wyrozumiałości i dobrej woli
systematycznie zastępuje się atmosferę
zantażu i terroru, nie może nie powstać
dobrego. W takiej atmosferze rodzą się
tylko nowe konflikty, zbrodnicze metody
można przynieść jedynie nowe zbrodnie i
nową katastrofę

Reportaż zrodził się podczas tamtej wojny w Świątkowie. Jeżeli na upartego był on wtedy tylko sprawozdaniem, korespondencją, listem, felicetonem — 'o jednak prozową nazwę, miał reportaż swoją odrębność ujawniania tematu. Uprawiał zresztą ekwilibrystykę między sprawozdaniem a beletrystyką. Od razu też wykazał ambicję i z łamów pism wyczołżył się w książkę. Szukał niejako trwałości literackiej.

Mimo to, że żołnierze przyczynili się do triumfu repertażu w lamtej wojnie. Właśnie cywile, nie nekani nalołami, na przekoż kartkowym utrapieniem, okazali ciekawość dla wojennych spraw, dla czołgizów strzelczych, zaskiołów, grubych Bert. Repertaż dokarmiał ich wyobraźnię, koloryzując i odbrazowując wojnę. Ta podpułdiwa lekturna niespostrzeżenie spełniała jednak zadanie propagandowe w toku dżurczyc się wojny. Ujawniając — zatajał bożę — w ten sposób, że z jego wiatrygodności była rażąca problematyka, że niektóre elementy literackości służyły znakomitej tendencjiemu przeczaczeniu, a bezpośredniości, żywości i naturalności relacji były jedyne sprawą — talentu pisarza.

Toteż kiedy po wojnie — jeszcze ciągle w formie reportażowej — zaczął się de-
maskować przeżyć i faktów, żołnierzy, już
demobilizowany, przekonał się dopiero do
sensu służby wojennej. Odnalazł z nim wre-
szcie siebie, nie sfatygowanego w dżma-
nach, napospołasnianego, ale nie zakłama-
nych. Wtedy jednak nastąpiło już prze-
obrażenie reportażu, czy też może jego am-
plifikacja wyrodziny. Stał się — powieścią,
powiedzą, dramatem. Wszedł do pisarstwa
pod dwóstroną firmą z intencjami szczeroci,
awanteksh-bicjonizmu. Szybko też narzu-
cił się własny program, który jako
autentyczny usiłował opanować prozę bele-
trystyczna

Jeszcze nie ratyfikowano wszystkich akwizytoratów wersalskiego, jeszcze nie przegrano wszystkich powojennych punktów zapalnych. Gdy wawie jednemu z wojowników się dwie powieści reportażowe: "Barbusza", "Ogień" i "Remarque'a". Na zachodzie bez zmian". Tu już bez obśnekanizowano wojnę, jej refleksy i jej rzeczowść, która nagle objawiła się jako nieprawdopodobnie, jako coś nie do znienienia dla człowieka. Obie powieści są więc atrybuty, mimo że jedną tworzył p. Obie są protestem żołnierza wprawdzie "kajnego", "niezanego", ale właśnie rezentującego zagadnienie w drobiazgowych, beśpośrednio, więc reportażowo poanych szczegółach wojennych przeżyć.

W takim ujęciu poszedł reportaż na krótko dalej, aktualnie po wojnie. I tak między poruszeniem kanuckiej wojny 1870 i niemiecką pisańką baronową Berta Sutter swoją pacyfistyczną powieścią „Precz z orężem!” wspierała hasła Ligi Pokoju, tułtarbusie i Remarque na własną rękę i od siebie niezależnie poparli Genewę. Nieuniknięto w genewską uszczelnienie idei pokojowej, pisarze w tych sprawach bardziej politycznych prostolinijni i naiwni, upomnieli się o mauluczkę, o mierzwę, o mięso armatine. Literatura pacyfistyczna nie niepojęła — oczywiście — wojnę. Remarque, głosiciel kłęski, nie państwa i narodu, czuł nieznaną człowieka, wbrew humanistycznym intencjom podsycał właśnie — dźwiał niemiecki. I chyba nie za sprawą — innej, nieco późniejszej powieści reportażowej „U kresu nocy” Cella — tak reklamował — przez snobów i smakoszy — francuski — wolał drugą wojnę światową — rozbrojenie militarną i ówczesne. Często przyłożony wojnie, zwolna unosił się, ale ani on sam, ani pisarze nie przeczuli jeszcze wtedy gniotu totalitaryzmu i programowych systemów nienawici. Nie przeczuli też tej drugiej, o tyle raziwszej wojny.

Reportaż stał się wkrótce jedynie dokumentem niedawnej przeszłości, chociaż jego autorzy przez parę niedługich lat byli aktywnymi uczestnikami życia politycznego i wstrząsających przemian w państwie. Sheffa, "Kres wędrowki". Widzowie mogli dostrzec przypatrzeć się rowom i okopom, które doskonale imitowały nawale artylerijską, a aktorzy podrabiali świetnie głos człowieka, który, nie pretendując do bohaterstwa, spełniał swój nadludzki obowiązek. Tak właśnie zaprezentował się polskiemu światu angielski żołnierz, który narodził się, małego, patetyczniejsze słow-

U nas szczególnie winny tamtej wojny, dawał sam poczępciezu rnszej sily, ktorej ródem była właśnie — wojna. Jeżeli nowe Małaczynskiego, — przynajmniej, że element raportu na przedź Świetnej formy lterackiej, są odpowiednikiem tej nowej rzeczywistości pełnej zadośćuczynienia. Dwie postaci Rembeka: „Nagan” i „W polu” — dopódy przyzięje przez krytykę — nie są dobrej jakości jako lektura — lecz nie fabularyzacji fikcji, zachowującej rodnią wrażliwość, zastawiają wyzwanie z czech republiki, zawalają w tych uwarunkowaniach. Autora pasjonuje sama wojna i szukanie dla niej własnego wyrazu pisarskiego. Społeczne motywy gubią się więc wśród opowieści niemal batalistycznych.

W tym zęściu wojennego reportażu na-
mano więcej literatury jest więc wnioskowa-
nie na rzecz pojęć i zagadnień wysnuwa-
nia wyprosi z faktów. One też podbudu-
wały już świadomie zamierzoną koncepcję
dział. Elementy reportażu pozostały jedy-
nie w bezpośredniości, jeszcze świeżej, ale
dlatego aż nadto ciasno przylegające do
przedmiotu. To bowiem jest cecha reportażu,
że nie ma w nim perspektyw, myślo-
we, uczuciowe — ogólniej biorąc; intelek-
tualnej. Zastępuje ją całkowicie rzeczywisto-
ść ożywiona i dotykana, w swojej nie-
mowności — wymowna.

Tymczasem jednak reportaż istniał także i w pierwotnej formie. Signały tylko po inną tematykę i przebiegał się w pomysłowości. Zwykle sprawy, przy szarego, czułością odstołał swoję atrakcyjność. Zabiegany reporter dziennikarski, niedawno jeszcze popychadzo redakcyjną, dobił się czołowej pozycji. Przed kilkadziesiąt laty talent Prusa ścierał się na kilkunastowiecznym wzmiankarstwie reporterów, wieloletni dziennikarskim banałem chwalebne czynny straży pożarnej lub ruśskie zabawy na B'clanach. Teraz reporter, z talentem czy bez, miał do dyspozycji całe kolumny i pisał, pisał. Wprawdzie jednak zaczęli się o stanowisko reportera wbiegać pisarze o dobrych i najlepszych nazwiskach. Albo i tak było, że reporter dziennikarski dorabiał się nazwiska — literackiego.

Pisarze zainicjowali reportaż z życia robotników, chłofów, z rozmaitych dziedzin przemysłu, z fabryk, warsztatów, chałupniczych, z kopalń, zapadłych wsi, z ośrodków nędzy, z dna nędzy. Jeżeli „grypa szalała w Naprawie”, albo szła „wyżej” woda w reportażach Jalu Kurka, to Świętne pióro Wanku znowo obrazowało COP, wiec tworzył różnied państwa i narodu. Jeżeli Szezelburg Łezambina wycinała żabotne „płoty” z papieru, a inni pisarze obolga i kłopot posuwały swoje pióra, to pisarze zainicjowali z domów publicznych, z Morciniek czużyłn sercem pisał reportaż z szkoły śląskiej.

[illegible]

Szary człowiek, choćby wielokrotnie zawarył, znużył innych i znużył się sam sobą. Czytelnikowi w Polsce może także dlatego szło ku tak kaskadowym statystykom. Autentyzm groził jednak opamięnieniu literatury, wbrew tym, którym dowiedzieliśmy, że reporterzy są do myślenia dziur. Gdy tylko na drodze, wypylą gdziekolwiek na powiechnięcie, buńczucznie firmował „reportaż z dyneku w pałę”, „reportaż z meczu piłki nożnej”, „reportaż z polowania w puszczy Białej”, „reportaż z więzienia w Świejmy Krzyżu”, „reportaż z procesu Goronowej”. Już nie wypadają ani w solidny dziennik, ani w brukowca. Leniwy czytelnik polski przestał wreszcie reagować na firmę i na formę. Było mu wszystko jedno. Miał dość szarego człowieka, chr-

...kult, metody i cel wykładu miały aliterne-
kować, nie było powiedzi, bezdusznego ochłocha na wiel-
kość. Czytelnici, siły wagi, nie miały być
biograficzne, po udomakowaniu Rómans
i religijnych osobistość, brązowych i od-
brązowanych. Pisarz zaś ulegając bądź to
konunkturze, bądź szukając dla swojej
problematyki szerszego nie winiłowancgo
oddech, cofał się wstecz w minione lata,
do historii. Jednocześnie autentyzm i na-
dziejalecznie parat się szczegółami, lękają-
cym się charakterów i ich patosu, którym
właściwie napędzał się świat, przemieniają-
cym się w hordowe demonów. Zagadnienia
tego świata przybierały na grozie.

W pewnej chwili i ta grażna wścigła się do reportażu. Może wdały się w to czynnik rządzące w przewidywaniu tego, co ma nastąpić, a może była to intuicja pisarzy. Chodził więc tropami Smętka Wąkrowicza, Kisielewskiego „zbieral prochy”, Siomki, pisarza, przynieszone za rękę przez Instytut, który nie pamiętał, że w tym czasie już nie żył. W końcu, jak pisał z rozczarowaniem o ZSRR na złość Gide'owi, a z nienawistnym zazenowaniem wobec Wellisa. Pisał: wszyscy gwoździ prawdzie i, jak Próżniński, dla wyższości się temperamentem i pioskarskich. Były to polityczne reportáže, niekiedy ukryte za zasłoną dyploma, a niekiedy — jak pisał — pioskarstwo. Własne, wolności — pioskarstwo — pioskarstwo, w czym pomagał mi materiał ilustracyjny — fotomontaż, wykres. Wspominało to warto, że jedno z ministerstw organizowało wyjazdy pisarzy do rozmaitych krajów ościennych i bardziej odległych, kłusując je hojnie. Pisarze mieli obowiązek wykorzystania tych podróży w swoich dziełach, nie kępować jednak pod kątem wygodnym. W tym czasie, jak się powstawał na rok lub dwa przed wojną, lecz o mi wiadomo nie dał oczekiwanym rezultatów. Po prostu nie starczyło czasu.

Chcę więc po tych wszystkich perypetiach przepiązła zdefiniować ten rodzaj życia, napewno omylił się w jego zakresie i zasięgu. Nie wybrniemy też z jego formalnych ustanowień. Recepta i w tym wypadku okaże się nicpotrzebna wobec chronicznego schorzenia reportażu, a może też niesforności pacjenta. Każdy rodzaj literacki wymyka się przepisom, a filozofia jest nie do odwołania. W tym reformatorstwie nie ma celu, Husserlem nie owładnięta nie może się do wyjaśnienia czy też zaciemnienia i nie może być. W tym reformatorstwie nie ma celu, husserlem nie owładnięta nie może się do wyjaśnienia czy też zaciemnienia i nie może być. W tym reformatorstwie nie ma celu, husserlem nie owładnięta nie może się do wyjaśnienia czy też zaciemnienia i nie może być.

Jeżeli więc powiemy, że warunkiem reportażu jest **wierność** — natknijemy się odrazu na przetworzone konieczność, na dwydzielne echy pisarza. Rzecz o **wierność** natomiast zależna będzie od umiejętności doboru, więc od smaku i zainteresowania. Z tego zresztą stanie się widoczny dyalekt, obiektywizm i subiektywizm. Aktualność, bezpoziorność, te, zdawałoby się już niezupełne warunki reportażu, zaprowadzą pisarza w ślepią uliczkę, w której będzie się młotał między refleksyjną liryką a epiką, między odczuwaniem i obserwacją. Z tymi wszystkimi wątpliwościami i kłopotami daje sobie radę właśnie czynnik irracjonalny, a przecież: wrodzona właściwość człowieka, która nie pozwala mu, aby w świecie, który jest kalewaniem, posiadał się i nie jęknął. Iż nie, nieraz dokurkając ten jęk

Trudno jeszcze w tej chwili ocenić nasz orybek reportażowy w tej wojnie. Czy wyrósł poza szablón, czy zachowa bodaj wartość dokumentarną, czy nadają technicznym osiągnięciom, czy sprzymierzył się z człowiekiem w jego nieludzkim trurzeniu. Czy wreszcie, parcellując wojnę na cinki obserwacyjne, reportaż ogarnął jej zrasliwość. Tamta wojna w zestawieniu z becną była jak zwolniony obraz filmowy. A – totalna lub poetyczniej: byskawica – burzyła warsztat pisarza: skupienie, którym porządkuje materiał.

Nie wymienianaj nazwisk reportażystów, nie klasyfikuj ich pozej pisarskiej pod zględem ilościowym i jakościowym, wierzcie jednak trzeba, że reportaże zaieszczane w pismach oddziałowych są szpse od tych, które drukują pisma wydane przez Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu. Inaczej jest w prasie wojskowej. W wydawnictwach wojskowych ukazuje się w rozmaitych ośrodkach migracji. Reportaże lotnicze Herberta Borskiego i lotnicze Fiedlera i Nowakowiczego posiadają już tyle elementów nowelistycznych, że są to raczej opowiadania niżreportaże dożytych z zointy biorage wojenne. Wielka ksiązka reportaży o wojnie. Wzrost wojenny i powstanie Monte Cassino ujawnia się narazie w fragmentach, których duży walor literacki może znaney przeszłości pisarskiej autora być niespodzianką. Wańkowicz nie tylko wie, jak pisać, ale umie rozplanować materiał, na którego zdobycie nie szczędił żadnego wysiłku. Ale Wańkowicz jest w

od tych młodych z wojny i na wojnie dorastających, że nie musi pisać na kolanie, dorywczo, ukradkiem. I tak właśnie było powinno. Pisarstwo jest zawodem, a nie marginesem do innych zajęć. Jest zawodem trudnym, poważnym i odpowiedzialnym. Te truizmy — mają, niestety, w naszych warunkach ciągle jeszcze znaczenie odkrywcze. Ciągłe jeszcze budzi zdziwienie — niesmak, kiedy pisarz bez potrzeby mówi o „młodości”. Wskazywać, czy nawet rozmiścić, „dlaśniaszą się” w młodzieży, nie ma. Należy utrzymać swój elitarny na dawnym poziomie i wszystkie pomoce do swojej pracy czerpać z — natchnienia.

W wojsku nie ma jednak dyskusji. Toteż naszym młodych pisarzy czas i przestrzeń wojny pobawia tchu. Ale właśnie dlatego przyjąć im powinna z pomocą ich świeżość reakcji, poddając im słowa i wyrażenia nieznajomości balastem oczynia. Bywa jednakże, że niebezpieczeństwo wojny ulegają wzajemnym wpływom. Ich pisarstwo ma zadziwiająco wspólne cechy, a dobor motywow jest dość jednolity. Jeżeli piszą ze znajomością fachową o sprawach związanych z rzemiosłem wojennym, jeżeli ten sprzęt wojenny potrafili poddać w transpozycji literackiej i wyrazić w sposób bogactwa i elementów rzeczywiście prawdziwych. Ale do tego nie dojdzie raz z przyrodą. Widzą ją nie bańkami. Ale w tej wojnie sprząt, o ile nie przytoczył sprawki, to na pewno uzupełnił jej sprawność fizyczną i podzielił przeobrażając na psychikę. Tymczasem żołnierze drugiej wojny światowej są prawie ciągle – w reportażach oczywiście – „żołnierzykami”, „wirusami”. Związani z wojną, nie znając wojny, nie są to nawet w pseudoreportażach, więc w powiadaniach, noweliach.

Mowa tu, oczywiście, o reportażu literackim, czyli w moim pojęciu reportażu właściwym. W odróżnieniu od niego relacje dziennikarskie muszą wykazywać się pospiechem, badającze prześciganiem i mają swój sprawny aparat – Kwaterny Prasowe. Powrócił więc w tej wojnie do swojej funkcji – korespondent wojenny, ruchliwy i zapobiegliwy. Bywa, że i wśród korespondentów znajduje się talent literacki, co nie jest ostatecznie – ujma, ale nie jest też koniecznym warunkiem.

Nie wiem dokładnie, jak wyglądała reportaż u innych. Zabłąkały się tu książki reportażowe niemieckie jeszcze z września. Nie można w nich znaleźć nic więcej, niż nad hurra i hetz propagandę. Jest w nich uprzykrzona demagogia, spełniająca funkcję ostrogi. Podobną metodą posługują się reportaż sowicki, mimo, że piszą go, względnie pisali wytrwani pisarze — jak Szolochow, Tolstoj, Ehrenburg. Słowa, które pisząnie jednocześnie ciekawym kompleksem i poganiaczem. W prasie anglosaskiej reportaż jest niewiele innego, ma, są zdo „stories”. Te króciulki anglosaskie, w miarę zabawne i niemądre, zastępują się do swoistego anglosaskiego pojęcia humoru. Ale może właśnie z tych okrucich wielkiej wojny powstanie jej legenda. Przekazywać będą te historie z ust do ust, a jakiś smole giorusuz, zdarzy się w wszystkie na swoją chwałę, na durno, są opowieści przy kominku, za ladą sklepu, w domu, w barze. Może też inwalida wojenny, znajomy, znajomy pocieszenie i duma swojego kalectwa, zwłazda, zwraca się z tych wesołych i uszczuplonych historyjek podejmuje się ktoś napisania „Szwajka” tej wojny, albo „Kanapla Szczyzny”.

Z tym wszystkim – reportaż w wojnie obecnej nie zupełnie sprzał swojemu założeniu. Wyszliwszy już w latach pokoju, im nabrał nowego koloru podczas długich lat wojny. Niekiedy podyrwał się jeszcze, nawet buffonował, ale zgasił się – smutem. Bo to była wojna smutna, ledwie zdobywająca się na piosenkę, na udawaną humor złoński. Z biegiem lat coraz bardziej kwasiła zóznierz, tak jak kwasił idee, jak kwasiła hasła, jak inaczej kwasiła się zwycięzcy, jak zwycięzcy nie zaliczamy się ani do jednych ani do drugich, więc też nasze hasła kwitną ciągle nadzieją, tym kwiatem nieśmiertelnym.

Alto, to, że właśnie tak jest z nami i w nas, wykrzeka już poza zasięg reportażu. To – czeka na epopeję, w której bohaterowie mają miarę bogów, a idee, tak jak pogowie, nie giną od ran. Homerowy Mars draństny włócznia Achilla wzniósł na pobojowisku okrzyk tak donośny, jak płacz piersi dziesięciu tysięcy mężów. Właśnie dośnośniej więc, niż dośnośni, wolności, bo głosami milionów ludzi. To – czeka podnosi się z kurczawy i krwi – piosenka, więc wieczna.

Poczekajmy zatem czas jakiś — bo może któryś z tych młodych piszących żołnierzy, mimo nieudanych reportaży, będzie Sienkiewiczem i Żeromskim tej wojny. Może mu do tego nie więcej potrzeba, jak libry papieru i stołu, i trochę spokoju. Chyba potrzeba mu także nieco opieki od tych, którzy będą czołowymi bohaterami tego eposu.

„Kiedy białym jeńcem”

Autorką tych wspomnień jest jeń-
niec wojenny Nr 106192 — porucznik
A.K. — dziennikarka warszaw-
ska. Jest to ściśle zgodny z prawdą,
fragment większego reportażu z okre-
su od 5 października 1944 — data
wyjścia z Warszawy, do 10 kwietnia
1945 data uwolnienia przez Amery-
kanów obozu oficerskiego w Mols-
dorf.

Na Koszykową — zdawałoby się tak
blisko i przykro! przecież się pójdzie u-
lica, nie podkopami. A jak było długo i
jak strasznie trudno!

Ranek był mroźny, chłodny, przejmują-
cy — prawdziwie październikowy. Po prze-
cięciu było piątego października. Ciemne
chmury wprost jakby leżały na poboż-
wisku — bo jak inaczej nazywać też —
Marszałkowską, całą jak jeden skosnialy,
księżycowy, zryty kraterami pejzaż, że tak
nie znamie, takie domowe, takie nie do
tego stworzone przeczenie. Tragiczna, peł-
na dzikiego patosu Hoża. Skórki, sie-
dzaki w jeden zwal nagle jak wyłot diabli-
skiego wawoju, gdzie szalała jakaś nie-
dzyplanetarna wichura. Wilcza zamarła
zupelnie i cicha, cicha... Tak się je wi-
działo ten ostatni raz.

Na każdym kroku nie tylko tragiczny
podmuch historii, ale i głupia, bestialska
groteska. Były grat, były strzyp czyszo-
głoty — czy jeszcze trwającego? — po-
niewierający się na jezdnii. „Na jezdnii” —
mój ty Boże... Słowa z innego świata:
„Ciekieria”, „Apłeka”. Płakat do góry no-
gami: „Warszawo! Wszyscy za broń!”.
„Zarządzenie Delegata Rządu obowiązują-
ce od dnia... Nie ma już tego dnia.”
„Nisko! Ostrząść z prawej!” Wywalone
wnętrze sklepu, drugie, dziesiąte, setne.
Ach tak, to ten. To rozstrząsane lustro w
rogu — ileż razy przed nim się cesałam.
Zawsze się myśli o głupstwach w takich
śmiertelnych wędrówkach — według naj-
lepszego literackich tradycji.

Idzie się pod deszczem z największym
trudem po zwałach, dołach, wierzchach,
czopajach się ścian, tam gdzie są, przedzie-
rając się przez wyrwane drzwi, okna,
deski, cegły, rowy, wyrwy, sadzawki bu-
rej wody. Jezdnia, ulica, trotuar, dom. A
w innych miastach są.

Przychodzi do głowy myśl, że dobrze, że
nie trzeba przechodzić przez Stare Miasto,
koło Kolumny Zygmunta, koło Kopernika.
Ale po chwili okazuje się, że było czynszo-
wa kamienica starczy za to miejsca najdroż-
sze, najbardziej warszawskie. Każdy już
nauzdał tam te magiczne wstawki, że
właśnie o niego najwięcej chodzi i że on
właśnie gra największą rolę w naszej przy-
watnej mitologii. Po przecie to tu wtedy
— A jak nie tu, to też wszystko kiedyś.
Strach patrzeć — a jednocześnie dzika do
tego pasja. Pokażcie, coście z moim mi-
astem zrobili!

O ludziach — jakoś mniej. Człowiek który
nie został zabity — no cóż — to taki jak
ja, pozabawiony wszystkiego, nie mający
już, podający się jakiegoś niedopatrze-
nia w tej chwili koniunktury. Straszliwie
nieszczęśliwy — ale przecież żyje. A to
miasto naprawdę poległo. Umarło — i nie
ja, nie ja zobaczę jak odbudowana, rozkwi-
tała, najpiękniejsza i zawsze najdroższa
ze wszystkich miast na świecie! A jednocze-
śnie głupio się uśmiechając mówić człowiek
do kogoś tam obok, że przecie nowoczesne
miasta tak prędko rosną, że za kilka lat,
że powojenna prosperość, że Ameryka...

Na którymś rogu — a jakiegoś dawno
nie widzieliśmy posterunek niemiecki —
prawdziwy, żywy Niemiec, i do niego nie
strzelają. Ach, a ten pierwszy wieczór kie-
dyśmy sobie mówili, że co jak co, ale w
niemieckim więzieniu już człowiek we-
cej nie będzie!

Tych pierwszych nowych Niemców bar-
dzo ciężko było zobaczyć.

Węć na tej Koszykowej zostawiła każda
z nas — kobiet — oficerów Powstania —
swoją prywatną osobowość i od tej chwili
już jest „Kriegesgefangene”. No cóż tak-
iego — jesteśmy polskie damy w niewoli
i tyle. Nie widzieliśmy i przecie nie na drugo.
O Boże, Boże.

Idzie człowiek i nie poznaje najbardziej
znajomych miejsc. No oczywiście, jeżeli tu
jest wyłot naszego tunelu a tam Politechni-
ka, to tutaj: —

6 Sierpnia. Aleja Niepodległości. Pier-
wsze „Hali”. Otaczają, już coś rozkazuje.
Tworzą jakby jak martwe z tępy niena-
wiste. Nie dziwnego. Przecie to my —
my na których polowali 5 lat, my, którzyśmy
się przez 5 lat wymigiwali z Japankę, z
arazców, z rewizji, z ulicznych egzeku-
cji, my którzy jednak nie jesteśmy w tej
chwili w Oświęcimiu. W Rawiebruck —
my, którzyśmy im jednak jakoś uszli!

Filtrowa. Ani jednego niespalonego do-
mu. Soldata, precyzyjny roboty. Plac Na-
rutowicza. To samo. Grójcka. To samo.
Trup, Trup. Ach, w takim, w takim stanie
zobaczcie tamte przekleste miasta!

Długi, długi wąż. Idziemy szybko. Stop-
niowo samo zagadnienie „iść” zaczyna wy-

pierać inne. Tak straszliwie ciężko — nie-
moralnie, ale dosłownie. Człowiek nie nie
ma — a ta odrobina tak strasznie dużo
wazy! I tak się idzie z paroma krótkimi
przerwami niemal cały dzień. Bożen-
sownie, zdołaliśmy kręć drogą prowadzą-
cą nas do Ożarowa. Czasami deszcz ustaje —
i widzimy jeszcze raz „pogodną polską je-
sień”. Im dalej od Warszawy, tym wszyst-
ko niby normalniejsze, bardziej dla nas
nieprawdopodobne. Ludzie na nas patrzą.
Coraz ktoś dopada maszerujących i usi-
guje coś powiedzieć, a jeszcze bardziej coś
dać. Niosą jabłka, chleb, cebule. Prawda,
że myślimy przecie okropnie głodowali! Nie
mam wolnej ręki. Ktoś w chodzie, powie
biegnąc obok mnie, kładzie mi na walizce
bulkę i dwa pomidory. Bulka i jeden po-
midor spadły w błoto. Drugi jakos później
zjadłam. To był mój jedyny pomidor tego
historycznego roku. Znowu groteska. „O
roku ow...”

Na którymś postoju już do zmierzchu w
rowie przydrożnym dopadają naszej grupy
jakieś kobiety. „Niech panie wejdą —
schowamy, przeżyjemy. Zostaniecie u nas.
Wściecie! Teraz można”. Ale człowiek już
postanowił zostać ze swoimi i podzielił ich
los. Wiż ich przecie to obok siebie ty-
siec — tych z którymi „spełni” to dwa
miesiące 5 dni — a przedtem jeszcze 5
lat konspiracji. Widzi twarz tak bliskie
i znajome, że aż trudno uprzytomnić so-

nieustannym gwarze 52 zdenerwowanych
do ostateczności kobiet — nagie rozlegają
się te reprezentacyjne odgłosy niewoli i
po nich następuje cisza. Trwa duża chwila.
Słuchamy. Próbowujemy. Przyczmy-
my się. Połom głosy powoli się budzą i rosną.
Po pewnym czasie cały wagon dudni jak
ul. i tak — po paru minutach dopiero go-
dziną — ten huczący pociąg pełny uwie-
zionych kobiet rusza. Jedziemy.

II.

Po koszmarnym nocu w zapłombowanym
wagonie, który zresztą przeważnie gdzieś
stoi — jeszcze jesteśmy w Polsce. Wiemy
o tym po głosach, które do nas na tych
postojach dochodzą i po tym, że z chwilą
kiedy w drzwiach wagonu otwory się
szpara szerokości może 20 cm. — przez
szparę tę co chwila niemal wsuwa się jak
biała rękawica koł Bog dał, bochenki; ch-
ba, jabłka, nawet kiebasę, i wodę przede
wszystkim wodę do picia. To wszystko ko-
ło, co siedzą bliżej wejścia, bez możliwości po-
ruszenia się w łoku, sprawiedliwie dzielą
na 52 części i obdarzają powstańcze
głodomyr Jemmy niesamowicie — takie
przecież jesteśmy wygłodzeni! Przez szpa-
ry coraz mocniej świeci słonec. Wagon
okazuje się być blaszanym i nagrzewa się
jak wściekły. Jakż człowiek jest brudny,
Boże, Boże! Ale ogarnia taki bezwład i
beznadziejność, że wszystko jest już jedno.



Podczas powstania w Warszawie 1944 r. ludność opuszcza miasto na rozkaz
władz niemieckich

bie, że są one przecie przynależne do
historii. Widzi to kobiety — jak różne —
60-letnie i 16-letnie, takie co są tutaj na
jakimś swoim miejscu i takie co jakby
spadły z innej planety, takie które zdawa-
łyby się same: sobie nie wiedzą i takie,
które zna każdy. W pierwszej czwórce
dwukrotnie miga błękit Virtuti. To dwie
panie major. Ktoś mówi za mną zupełnie
dziecinny głosikiem: „A moja mamusia
to znała panią major Kazika jeszcze na
tamtej wojnie i razem już wtedy wołowały
i pani major była taka mądrotulka, jesz-
cze młodsza niż ja, może miała tyle lat,
co Krysta...”

Nocleg w Ożarowie to jeden z najgor-
szych koszmarów naszej — i aż się Bóg
zdziwił. Kiedy nas nareszcie zatrzy-
mano, każdy dosłownie upadł tam gdzie
stał i tak minęła noc — w dzikim 10-
koku ludzi już nie pokatam na ziemi, ale jedno
na drugim.

Ranek wstał nad tym pandemonium po-
godny i łok był stosunkowo mniejszy spo-
niieważ zaczęły odchodzić transporty, za-
równo kobiet jak mężczyzn, bo tu jesteśmy
chwiloowo razem. Na olbrzymim podwórzu
między barakami tysiące spotkań. I ona? I
pani? I pan? Ludzie chodzą, łozą się, roz-
mawiają, rozpakowują jakieś rzeczy. Na
czyimś plecaku — kieszka. Tom Bi-
blioteki Wiedzy i cieniaki zielony Pingwin.
A ja nie wzięłam żadnej książki, choć jesz-
cze żyły wtedy wszystkie. Bo czy miałam
zabrać wszystkie ukochane? Wszystkie
500? A ta jedna jedyna też ma trzy tomy.
bo to „Lalka”.

Midzy ludźmi kręci się kilka psów. Są
to psy już bezdomne — a zaraz będą bez-
pańskie. Szuka się dla nich furtkęwskie
jakiegoś lokaty, opieki. Oczywiście, to są
dramaty drobne. Ale nie każdy tak myśli,
ach nie każdy.

Dzień wlezie się — chaotyczny, bezsen-
sowny, koszmarny. Jużby lepiej przedzie-
jechać. Ale jedziemy — nie wiadomo czy-
wiście okład — dopiero wieczorem kiedy
zmrz już jest taki, że człowiek tej zgnat-
nej ziemi niemal nie widzi. W wagnie
ciemności jest zupniak — i w tej ciemno-
ści z hukiem zatrzaskują się za nami drzwi
— a potem słychać uklepywanie i moco-
wanie zewnątrz. W straszliwym ścisłu —
jest nas w towarowym wagonie 52 i —
najmniej tyleż plecaków, waliz itp. — w

Zresztą nie wszystkie są takie obojętne
i przybito. Wręcz przeciwnie. Nastroj
nie jest już — nie był nigdy. Jest w nas na-
gół ogromna odporność — już odprężenie
tak wyra nie, aż aż zadziwiające. Większość
jest bardzo młoda — to pewnie dlatego.
Śpiewają. Nasze powstańcze piosenki, i
wioskowe, i różne. I znowu naszą naj-
milszą — „Je piosenkę, tę jedyną...”. Z
młodych wagonów też chwilami dołatuje
śpiew. Tak usiłujemy się między sobą po-
rozumieć i dziwnie przedkładać dzień,
pełny jak ten wagon — pełny słów, słów,
słów. Śpiewania, gorąca, kurzu — i jedze-
nia, jedzenia!

W noc, blazane ściany słyną z pier-
wotnej szybkości i zaczyna po prostu
lać się po nich czarna od kurzu woda. Te
co siedzą oparte plecami o ściany przema-
ją do bledziny. Ciemność zupelna. Na
jakimś postoju znajomy, tragiczny głos —
jaki syren. Alarm. Nasz, warszawski. Jak
dzawno...

I wczesnym rankiem, w śliczne słońce,
przychodziliśmy, to jest przyjeżdżali. Wy-
ładowując nas na jakiejś małej stacyjce, na
zielonych polach, po których rozbiegamy
się, w jakże późnym sposobie wykorzystu-
jąc pierwszy moment odzyskanej swobody
ruchu. Po chwili ustawiają nas w szeregi
i ruszamy. Bagaż jest jeszcze cz. zy. Prze-
chodimy koło budynku, na którym jest
napis „Lamsdorf”. Ktoś informuje, że to
Stajki, w pobliżu Opola. Krajozraz nasz,
polski. Stara piastowska zemla.

Do obozu dochodzimy bez tchu — ze
zmęczenia człowiek po prostu nie z po-
zyczyć nie widzi, oprócz tych pierwszych
niezapomnianych drutów — wielkiej, naje-
żonej jakimi bramami, w którą wchodzi-
my rachowane przez konwojentów. Wew-
nątrz drutów, na ogromnym podwórzu,
chaos nie do opisania. Dopiero z czasem
zaczyna się coś wylaniać, człowiek powo-
ści odrożnia, odnajduje swoich, zaczyna
dostrzegać luzemomni poszczególnych bar-
kows. Są ustawione w prostokąt, drewnia-
ne, niskie, niechlubnie tandeine, pełne
dzur i szpar, strasznie brudne. Wewnątrz
się przyce — w dwa albo i trzy pietra, albo
nie ma w ogóle nie. W mroju nie ma nie.
Poł wieczór zjawiają się brudne, stare
sienniki, które układa się na podłodze je-
den przy drugim — po dwa na trzy ko-
bety. Pośrodku powstaje jakby zaśmie-

cona arena, gdzie staje odrapany stół. Wy-
daje się niesłychanie wysoki, ponieważ
„żyjemy” na ziemi. Wodę bierze się z
dwóch studni w drugim końcu podwórza.
Trzeba ją wyciągnąć kubkiem tak wielkim
— ciężkim, że musimy do tego mobilizować
zawsze kilka koleżanek. Ponieważ wody
a'oluntie nie ma w czym przechowywać,
ta procedura powtarza się o każdą me-
nażkę wody.

Te menażki — plastik naczynka z br-
udnego aluminium — są naszym pierwszym
jeńcem dobytkiem. W nich dostajemy
pierwszy gorący posiłek — zupę. Po me-
nażkach otrzymujemy brudne i podarte
koce. Światła nie ma. W ogóle poziom ży-
cia może tu być tylko absolutnie nędzar-
ski, nawet gdybyśmy przyjechali wyek-
wipowane i zapobrane. Jest to dosłownie
tylko dach nad głową, zresztą, jak prze-
naliśmy się w pierwszy deszcz — dziu-
rawy, wsparty na równie dziurawych ścia-
nach. Ciemność jest taka, o jakiej człowiek
nie miał dotychczas pojęcia. Każdy cen-
tymetr kwadratowy miejsca trzeba — je-
żeli ktoś się na to decyduje — zdobywać
siłą na bardziej ustępliwej koleżance.

Gwóźdź, w ścianie jest przedmiotem ogól-
nego pożądliwości. Miednica jest jedna na
dwadzieścia kilka kobiet — a my się trza-
ba tań, gdzie się w danym momencie
uda — w baraku, w słońce, przy studni,
na podwórzu — i w sposób złączy od tych
okoliczności. To jedna z największych
udręk. Ratujemy się, przy pomocy żywych
parawanów: dwie stają byle gdzie i trzy-
mają rozciągnięty koc, trzecia się za nim
myle. Myle się po wszystkich możliwych i
niemożliwych kątach trawa bez przerwy
od świtu do wieczora, i ciągle pomimo to

— w tym potwornym brudzie człowiek
sam czuje się potwornie brudny. To też
z największą radością wiemy pierwsze
głuche wieści o łazni. Przecie nie ma-
liśmy jeszcze w niewoli ani szklanki go-
rącej wody! I rzeczywiście — jak mówi
pocieta — prowadzą nas „do mykwy” —
ta nazwa przylga się od razu. Po tym
wieczorem, ciemność kompletna. Ale w
mykwy — o sto kroków od naszych ba-
raków — jest elektryczność. I jest na-
prawdę ciepło. Wszelka odzież idzie pod-
czas naszej kąpieli do odziewnia. (Nieur-
stanny paniczny strach. Ciągłe ogólnie
się, sprawdzanie, czesanie, ciągła podce-
lizność — i ciągłe łobowienie głosi. Czo-
wiec oddałby cały świat do odziewnia,
było oddałby od tego strachu.)

W wielkiej łazni, gdzie się robiliśmy —
i kiedyśmy już tego niemal dokonywali —
okazuje się, że jest kilkunastu mężczyzn.
Są — i zostają. To jeńcy bolszewicy, któ-
rzy asystują nam podczas kąpieli, regulują
ruch przy przejściach, puszczają i zatrzy-
mują przysnec. Obracają się przy tym
wśród nas z zupełną swobodą. I my prawie
też. Mniej kręplawe nieznajomy mężczyzna,
z niesłychanie obcego kraju, niż — bardzo
często — nieustanna przez 24 godziny o-
biecność koleżanek. Tu właśnie warto
wspomnieć o specjalnym rodzaju meczarni
— tak ohydnie zwanej latrynie. Odległość
od baraków — kilkadziesiąt kroków, brud wręcz
niewiarogodny, i — także i tam — prze-
kleństwo naszego życia obozowego — łok.
Na ulęwnym deszczu nieraz kłękają i kil-
kudziesięciu kobiet czczą chorych, a za-
wsze wywołowanych ostatnimi wypadkami
do ostaka i z bardzo nieczystymi wyjątki-
mi straszliwie rozstrzęsionym nerwowo. W
tym diabelskim miejscu, który właśnie z
obrzydzeniem i przeczuciem nazywają spe-
cjalną szkołę. Zbiórówkę zwłaszcza ko-
bet jest w ogóle straszna — im bardziej
przyjemniejszych spraw dotyczy, tym stras-
niejsza.

Pięć w nie ma. O zmonowaniu w tych
warunkach strach pomyśleć. Żadna z nas
tego nie wytrzyma.

Sprawy jedzeniowe przedstawiają się
stosunkowo lepiej, z początku znacznie
pomyślniej niż później. Chleba jest stosun-
kowo sporo, kartofli też. Zupy są względ-
nie dobre, kawa słabutko osłodzona i
zwykle gorąca. Najgorzej jest rozłożenie
psiółków w czasie. Dostajemy kawę ranną
około 7-cj, obiadową 4-cj o 10-11-cj,
kawę wieczorną o jakiejś żupie i potem już
nie do następnego ranka.

A ranki są najgorzej. Zaczyna świtać —
i zaraz prawie rozlega się dzwignięcie głos
komendantki naszej: E. Eżysty (Eżysty
warchołowa wstawiają) i jakby z
pamiły, kulturalny głos wywołuje coś naj-
gorszego, obudził jakieś pandemonium:
nisko na brudnej podłodze zaczyna się coś
robić, gęsty gwar. To — obok łtoku —
drugie przekleństwo naszego życia. Nieur-
stanny, nieślabany ani na chwilę hałas,
gwar zmieszanych głosów, dochodzący
bardzo często do ogólnego krzyku. W łoku,
chaosie, ciśniecie wszystko ginie,
każda czerp ożuka, każda każdej zawa-
da, wybuchają niemożliwe do uniknięcia
spory, zwady, kłótnie o skrawek miejsca,
o igłę, o kolejkę do miednicy. I już się to

(Dokończenie na str. 9)

ST. CZAPLIŃSKI

Polacy w dzisiejszej Francji

(Od własnego korespondenta z Francji)

Pisząc niniejszą korespondencję z terenu Francji dla czytelników „Orzeła Białego”, ograniczam się do dość migawkowych obrazów. Sądzę, iż w ten sposób łatwiej będzie zrozumiały.

Na wstępie kilka cyfr. Niestety, w żadnej korespondencji nie można ich uniknąć. Tym bardziej tutaj, gdyż możemy być same z siebie. Znajdą się i takie, które mówić będą własnym kolorem. Kolorem krwi, wylanej w słusznej sprawie.

Mam przed sobą ostatni rocznik Światopoli. Opiaram się na nim, jako na ostatecznej instancji dla ustalenia liczby Polaków we Francji. Cyfry odnoszą się do jesieni roku 1944. Nie podają zatem obecnej sytuacji, która pod tym względem gruntownie się zmieniła wskutek napływu Polaków z Niemiec. Rocznik ten podaje ilość Polaków, mieszkających na terenie Francji, w chwili inwazji czerwcowej na 700.000, w tym bliżej nieustalonego liczba Polaków przesiedlonych z rdzennej Polski podczas wojny, około 20.000 u uchodźstwa wrześniowego oraz resztki walczących tu w 1940 roku dywizji polskich. W sąsiedniej Belgii liczone przed wojną 54.000 obywateli polskich, w Holandii mieszkało 4.000, w Luksemburgu 3.000 obywateli polskich. Dokładna ilość przed wojenną emigracji polskiej na terenie Francji trudna jest do określenia, przewyższa ona jednak liczbę pod milioną. Obywateli polskich. Duża część emigracji polskiej we Francji pochodzi z skupisk polskich w Westfalii, gdzie do czasu obecnej wojny żyły setki tysięcy Polaków.

Polacy we Francji są zorganizowani w Związku Polaków, który w 1939 roku liczył 2.300 towarzyszy i 27 związków. Zarząd Związku poczynił pierwsze poczynania mobilizacyjne już w marcu 1939 roku, wskutek czego we wrześniu tego roku można było zmobilizować 129.000 poborowych, z których część tylko wcielono do Wojska Polskiego we Francji, większość zaś na życzenie władz francuskich pozostawiono w przemyśle do prac dla celów wojennych. Emigranci francuscy stanowili pięć ósmych stanu wojska polskiego we Francji, dali 1.000 ochotników do Marynarki Wojennej, Belgia wystawiła 1.500 ochotników, przybyli kontyngenty z Holandii, Luksemburga. Popłynęły liczne ofiary pieniężne, przeżano wiele paczek dla wojska...

Synów emigracji polskiej we Francji nie zabrakło na wszystkich frontach wal-

ki żołnierza polskiego. Widzieli ich pola bitewne Francji w 1940 roku, widzieli ich Narwik, pustynia libijska, wyciekali w szeregach 2. Dywizji w Szwajcarii sposobności do dalszej walki, walczący z 2. Korpusem pod Monte Cassino, odpływali z portów brytyjskich z 1. Dywizją Spadochronową pod Arnhem.

Udział Polaków w pracy konspiracyjnej na terenie Francji i pod okupacją niemiecką i następnie udział ich w walce podczas inwazji stanowi temat zbyt obszerny, bym go na tym miejscu mógł szerzej omówić. Ograniczę się znowu do cyfr.

Działająca podczas okupacji Polska Organizacja Walki o Niepodległość (P. O. W. N.) liczyła ponad 7.000 członków, zarówno mężczyzn jak i kobiet. Osiągnięte dane wyniki w akcji sabotażowej i dywersyjnej, przyczyniając się również do wykrycia 84 wyrzuceni bomb latających, o których miejscu dostarczają 162 meldunków. W okresie inwazji wprowadzono do walki 27.500 ludzi, uzbrojonych w broń, zdolnych przeważnie w Niemczech. Walczyli samodzielnie kompanie i bataliony polskie; w wielu wypadkach oficerowie polscy dowodzili mieszczącymi jednostkami, mając pod swą komendą Francuzów i inne narodowości.

Wkład nasz do ogólnej akcji Francuskiej Armii Krajowej był ogromny. Niestety atuty propagandowe tego czynu jakichś wymykają się nam z ręki i obecnie we Francji raczej głuchym do naszych zagłuszeń na tym polu. Należy jednak stwierdzić obiektywnie, że w kołach wojskowych francuskich nasz wysiłek zbrojny podczas inwazji jest należycie oceniany.

Uczestników tych walk żołnierzy 2. Korpusu zobaczył już na jesieni ubiegłego roku w postaci ochotników, przybywających z Francji. Jako dowód ich wartości, i to wiatrowskie, i ten ciepły komplet — bo przecież październik — idzie zima. (Ja — idzie — zabralam tułaczka, ale najpiękniejsze komplety bielizny. Oto co znaczy próżność całego życia — jadłowicie „vanitas vanitatum...” Niektóre za to są jak Marlena Dietrich w tym filmie, co to zdejmovala z siebie ogromne, namarszczone spodnie, nawiązujące jak wewnętrzne placki cebuli. To też nadzwyczajnie piękne, niezwykłe transformacje następują, kiedy się wieczorem zaczynamy rozbiierać i z tego nagromadzenia rudnych, wadliwych, nieładnych zacząć się wyłaniać coś, co jednak jest bielizną i sylwetką kobiety.

Kobięcość triumfuje. Przez te pierwsze dni idzie bez przerwy niustanna akcja ubrania. Wszystkie jesteśmy biedne, jak myszy kościelne — ale te, które mają je jednak więcej, obdarowują jeszcze uboższe koleżanki. Trwa niustanna wymiana, przyzieranie, przykrywanie, przebieranie, a przede wszystkim pranie, pranie po gorym niebem w wielkich korytach przy studniach. Jak dobrze, że ten październik taki ciepły — mamy, my baby, prawdziwie białe jajo! Woda jest miska łagodna, ona sama prawie pierze („radien sam pierze...” — gdzie, gdzie to było? na Marszałkowskiej koło dworca? na placu Piłsudskiego?). I dobrze, że ta woda jest taka czarodziejska, bo jeżeli chodzi o nas, to ogromna większość prae nie umie, a w tych warunkach — nie umie nici. Stoi człowiek przy tym korycie w dzikim gwoździ i łoku ze spuszczonymi na swoją robotę oczami i widzi na świeżym mydle koleżanki napis „Fryderyk Puls” albo „M. Malinowski”. Pozdrowienie z innego świata...

To zdobyć miejsca na pranie przychodzi zagadnienie suszenia, 1037 pomnożonych przez 3 różnokolorowych „kawalków” oblepianych jak szarańcza baraki, ciepła się ścian, gwoździ, sznurków, każdego patyka. Tylko po wyraźnym zakazie ustaje wieszanie na urzędowych kołczastych drutach. Zresztą okazało się, że bielizna od nich rdzewieje.

I dzięki tym wszystkim czynom zaczyna się materializować pierwszy nasz cykl z cyklu tryumfów ducha nad materią: bardzo prędko nasza straszliwie pstra gromada zaczyna wyglądać stosunkowo przyzwoicie i jednolicie. Ale nie, to nie

ci, należy stwierdzić z całą stanowczością, iż trzon naszej emigracji stoi na naleytnym poziomie pod względem wyrobienia patriotycznego i obywatelskiego. Kamieniem próbnym jest kwestia całości naszych granic, co do której oburzmya większość naszej emigracji jest jednomyślna.

Każda walka powoduje straty. Nie były one meższe walczącej Polonii francuskiej. Wielu zginęło z bronią w ręku, wielu zmarło w niemieckich obozach koncentracyjnych. Dopiero teraz ujawniono śmierć w Buchenwald b. konsula w Lyonie Mierzyńskiego, attache ambasady w Paryżu Szmielewskiego, rektora Misji Katolickiej na południową Francję ks. Rogaczewskiego, prezesa paryskiego okręgu związku kupców i rzem. Mikosza-Drzewińskiego. To nazwiska wybitniejszych; iluż mniej znanych (dodał toż życie dla sprawy? Niektórzy zaczęli wracając: sekretarz związków P-laków Kalinowski, prezes PCK dr. Załuski, dyrektor PAT na Francję Świątek, inżynier Związku Polaków Grochowski. Wszyscy z Buchenwaldu.

A co przyniesie uwolnienie obozu w Dachau, gdzie przez dziesięć tysięcy żyjących daleko większe zastępy Polaków pozostały się z życiem? Ilu Polaków z Francji nie powróci już nigdy z piekła obozów? Zaiste,



Wyjście ludności ze zburzonej Warszawy w 1944 r.

szycherby w szeregach naszej emigracji francuskiej są wielkie, nigdy jednak nie brakowało chętnych do zajęcia miejsca po odeszłych, a wielkość pracy dokonanej o ceni historia.

Wracając do tematów bieżących, spróbuję teraz opisać nurt życia polskiego we Francji. Należy tu przede wszystkim rozróżnić dwa wielkie skupienia Polaków. Większe znajduje się na północy, głównie w okręgu Lille, gdzie liczy ponad 250.000 ludności polskiej. Należałoby temu skupieniu winować, że w obębie swym posiada jedyny zresztą we Francji dziennik polski „Narodowice”, gdybyśmy oświadczyli o przeczytaniu kilku numerów nie doszedł do wniosku, że musimy być innego zdania. Przed wojną i podczas okupacji popularny na tamtejszym terenie był dziennik „Wiarus Polski” obecnie nie wychodzący. Posiadał on wówczas 40.000 abonentów. Należy stwierdzić, że więz ogólnoznacząca polska właśnie w terenie jest najsilniejsza, czemu zresztą nie można się dziwić spowodowanego liczebnie skupienia w stosunkowo małym okręgu.

Jeszcze chodzi o życie społeczne i kulturalne, okręg Francji północnej ciąży silnie do Paryża, który jest siedzibą centralnych władz i stowarzyszeń polskich. Znajduje się tam ambasada; konsulat generalny, misja wojskowa, Centrala Związku Polaków we Francji, oddział Światowego Związku Polaków, centrale PCK, YMCA, PAT, Polska Misja Katolicka, Biblioteka Polska, Dm Polski, wreszcie wojskowy Oboz Zborny. Polską prasę paryską reprezentują tygodniki: „Stander Polski”, którego redakcja mieści się w centrum miasta w dawnym biurze Orbisa, dalej pismo „Polska Wierna”, organ Polskiej Misji Katolickiej, wreszcie dwutygodnik wydawany przez Polską YMCA dla młodzieży. Na teren obozów wojskowych dociera poczynny periodyk wojska „Wróćmy”. Prasa polska z Londynu rozchodzi się we Francji w minimalnych ilościach mimo ogromnego zapotrzebowania. Komitet lubelski wydaje tygodnik „Niepodległość” (1) i dwa pomniejsze periodyki.

Zapewnie będzie czytelników żywo interesowało jak obecnie przedstawia się możliwość odszukania osób bliskich, znajdujących się w Niemczech. Mogę z miejsca odpowiedzieć, że będąc osobiście zainteresowany w tej sprawie, podczas kilkudniowego pobytu w Paryżu zbadałem wszel-

(Dokończenie ze str. 10).

(Dokończenie ze str. 8).

nie uspokoję; prędzej niż zaśnie — za 16, 15, 14, 13 godzin.

Niespodziewanie szybko jednak życie zaczyna się jakoś w tych dzikich warunkach układać. Komenda reguluje bieżące sprawy, poszczególne osoby obejmują różne funkcje, następuje przegrupowanie, pewne uprządkowanie. Z chaotyčnego rojowiska zaczyna się wyłaniać zorganizowany ośrodek, zachowujący normy i przepisy. Wybuchamy pierwszy w niewoli rozkaz. To raz pierwszy padają sakramentalnie orzechy od tej chwili słyszane słowa „Podpisano: Komendantka obozu Kazik marm.

Druga codzienna sprawa — jakże inna — to tzw. apel niemiecki. O określonej porze musimy być wszystkie w szeregach na podwórzu, gdzie jesteśmy liczone — skąd nazwa „liczydło”, przypięta w każdym obozie do odpowiedniego niemieckiego zidaka. Jest wśród nas ponad 400 oficerów, dwóch majorów, około 10 kapitanów, nie wiele więcej poruczników, stosunkowo ogromna ilość podporuczników i reszta — szary tłum. Zle zresztą mówię „szary”. Tłum nasz jest wieloletni kolorowy. Psy oburzmya większość spośród nas to obdarzany w całym znaczeniu tego wyrazu. Ogromny procent jest takich, które z własnego dobytku zachowały w ogóle to, w czym wyszły z domu w pogodny letni ranek 1 sierpnia — pantofelki na bosą nogę i wzorzystą sukienkę. Późnie uzupełniało się to w miarę rozwoju wypadków i przydziałów, bluzę czy spodniaki, zdobyczną niemiecką ciupak, pianistą celia — i równoległe do tego darami bliskich, którzy jeszcze mieli mieszkanie i rzeczy. Kto nawet wychodził z własnego, jeszcze idącego domu, ileż miał czasu na to, aby na niego nie zapomnieć. W rezultacie na naszym apelu pani we wspaniałej skunksowej pelerynie i ex-biatych tenisowych pantoflach stoi obok koleżanek w łowiejczy zapasce i wysokich męskich butach. (Szczęśliwa!) Ktoś ma na pelerynie od deszczu srebrnego lisa, inna okrywa się ciepłą bonurką, ta — drobniutką — tonie w płaszczu z dużego mężczyzny, prawdziwie „tatułowej kapocie”.

Na głowach pewien procent ma furatki i reszta berety, chustki, apaszki, w nieprawdziwego zdarzenia. Większość

jest pierwszy nasz cud. Pierwszym w czasie i może największym jest nasza niezachwiana pogoda ducha. To jest coś, co na prawdę zdumiewa. Ten tłum kobiet, z których iluż większe straciła w ogóle wszystko, które mają z sobą koszarach tych dwóch miesięcy w rozbitym polskim i płonącym mieście, które żyją w najgorszych warunkach i w całkowitej niepewności życia — jest nie tylko pogodny, ale po prostu wesoły. Bardzo, bardzo dziwne. Bardzo imponujące.

Do podniesienia nastroju przyczynia się walcnie — sąsiadstwo. Okazuje się, że w tymże Lamsdorfie są nasi mężczyźni. Są tuż obok, za drutami, bo tu oboz idzie za obozem są Francuzi, Serbowie, Kijanie. Aż mniejsza o obcych. Cała nasza uwaga skupiona jest na swoich. Kontakt nawiązuje się żywiołowo. Po obu stronach wąskiego „no man's land'u”, tuż przy drutach, ich i naszych, możliwie jak najbliżej — stoją bez przerwy dwa zbite szeregi. Patrzą z całej mocy. Prowadzą dziwne, krzyżane całą siłą płuc, najintymniejsze rozmowy. Krzyżują się imiona, pseudonimy. Przelatują kamienie, zawinięte w nich nasze listy. Lecą też dary — panowie ekwipują nas, przerażając futerkami, buty, kosiaki. My mamy więcej przyniesionych zapasów — przerażamy cebule, porce chleba, kartofle, woreczki kaszy. W zasadzie wszystkiego tego nie wolno. Natomiast komenda odnosi piękny sukces i uzyskuje od Niemców oficjalne wizenia. Raz wraz „pościeli” prowadzą do nas do budki przy wejściu grupy mężów i braci. Nasze panie nie tuż bywają wyprowadzane do swoich. Ale widzeń jest ograniczona ilość — a widzeń się chcą wszyscy. To też druty są stale oblepione. Kilkakrotnie przypada mi niewdzięczna służba porządkowa — wbrew przekonaniu, wbrew sercu odpędzanie. Koleżanko! Nie tak blisko! Nie za linia! Nie wolno!

Tak — służba w budce przy wejściu nie jest szczególnie przyjemna, choć oboz jest jedyna ładna rzecz na terenie naszego obozu — na mizernej grzędzie kołczących się już kwiatków śliczny krzak nagietek. Jaki śliczny na nie wszystkie, wszystkie, wszystkie!... Ach, jaki ładny! Ileż razy siedziałam tam na jesieniowym słońcu, nie mogąc powiedzieć przy nim — ale z nim, z tym kwiatkiem. Wiatr nim kołysał — a kwiat chwiał ziołą głową. Jak by zaprzeczał wszystkiemu, wszystkiemu...

Przychodzili do budki różni Niemcy, Serbowie — były różne postacie. Najgorsze było spotkanie z łuskiem. Było tam takie przybite wysoko do ściany, maleńkie. Szłam do łóżka lusterka prędko, prędko przypominając sobie po drodze „Beak House” — Estere po opisie. Nie miałam już długich włosów, aby się do siebie zasłonić, ani jej 18 lat. Aha — to tak się wygląda po 10 dniach niewoli. To się ze mnie zrobiło. No, cóż...

Po dwóch tygodniach mamy już „Pana Tadeusza” i drugi tom „Pojoliów”, wielką pikę — dar dawniej tu osiadłych sąsiadów, świetlice, poczęcie funkcjonalne nie geograficzne, świecica jest tam i już, jak w teatrze Szekspira — odzyskaj drożnicę z Japonii, odzyskaj o powieści rowdowej. Mamy stały kontakt naszej komendy z obozami sąsiednimi i, co ważniejsze, z Genewą. Już tam idą pisma — zapotrzebowania na mundury dla nas, na książki, papierosy, paczki żywnościowe. (Bo z żywnością jest odcień systematyczny). Przed naszym „malinowym” — od milej, dzielnej dr. Maliny — szpitalem stała któregoś dnia parę samochodów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Coś przywiozły — a przede wszystkim daly dowód, że za drutami jest świat, że wszystko się nie kończy na Niemcach.

A Niemcy — w granicach swoich możliwości — przechodzą pewną ewolucję. Nasi Niemcy, oczywiście. Stają się jakby gładszy, skromniejsi, jakby w pewnym sensie przez naszą komendę pokosmieni. Buta, arogancja, mępiła zdolność są niby zawsze te same. A jednak — jest jakiś odcień. Powoli, powoli, bardzo opornie uczą się szanować polskiego żołnierza i polską kobietę.

Tymczasem — polskie kobiety dra się przy drutach jak stado siojek i grają jak wściekłe w wóz zamkniętą pod kątem. Aż ażw bierze patrzeć — aż się nie wie, w to, że ta gromada rozbieganych dziewcząt to są te same — te same ze Starówki, z P.K.O., z Mokotowa, — że one umieją także walczyć najdosłowniej — i najofierniej i poświęcić wszystko, co w ogóle jest. A potem — grać o głowie w piłkę w niemieckim obozie, na starej śląskiej ziemi, która — jeszcze raz — „gromadzi prochy”. Kiedy te prochy wybuchną — pytamy siebie. Odpowiada daleki jęk syren. Alarm.

Halina Gołbiewska

PRZEGŁĄD PRASY

Witając z zadowoleniem fakt wznowienia rozmów w celu wykonania decyzji krymskiej w sprawie Polski w Moskwie, prasa angielska traktuje rozmowy te z chłodem i rezerwą. Na ogół biorąc pisma angielskie zgadzają się, że wznowienie rokowań stanowi przełamanie „martwego punktu” w sprawie Polski i daje podstawę do „nowych nadziei”. Prasa nie ukrywa jednak poważnych trudności, na które rozmowy te będą nadal traślały, ponieważ położenie samo w sobie nie uległo żadnej zmianie na lepsze, co siłą rzeczy nowym nadziejom nie rokuję wielokrotnie powodzenia.

Od tego wspólnego całej prasie nastawienia odchyla się jak zwykle nieprzychylny nam „Times”. Nie dość, że ani słowem nie wspomina o rozstrzygnięciach w czy charakterystycznej równocześnie konferencji moskiewskiej i rozpoczętego w Moskwie procesu przeciw prawdziwym przywódcą Narodów Polskiego w Kraju — Jeszcze na odwrót usiłuje wszystkie trudności sytuacji przypisać rządowi polskiemu w Londynie. W art. „Postęp w sprawie Polski” z 14 czerwca r.b. oznajmiając z głębokim zadowoleniem o zaproszeniu do Moskwy Polaków z Kraju i z zagranicy do udziału w rokowaniach o utworzenie „rządu tymczasowego”, „Times” łączy ten fakt z innymi nowymi wiadomościami, świadczącymi rzekomo o wzroście jedności wśród sprzymierzonych. Zaproszenie „polskich przedstawicieli” na rozmowy do Moskwy uważa „Times” za porę uczyniony krok do przełamania martwego punktu. Pochwalając trafność wyboru zaproszonych „Times” oświadcza:

„Obecność w Londynie reakcyjnego i nieustępliwego rządu Arciszewskiego, którego antyrosyjskie nastawienie nie stanowi tajemnicy, nie jest najmniejszą z wielu przeszkód na drodze do rozstrzygnięcia. Powołanie rządu, które mają się teraz zacząć w Moskwie pod auspicjami komisji trzech mocarstw powinno prowadzić automatycznie do wspólnego uznania przez trzy mocarstwa tymczasowego rządu jednoci narodo-wej, ustanowionego w Warszawie”.

W końcu swego artykułu „Times” raz jeszcze daje wyraz swej mocno już poszerzonej wierze w możliwość osiągnięcia trwałej zgody między sprzymierzonymi na podstawie konsekwentnego wykonania za-sad podziału Europy na dwie strefy wpły- wów.

„Decyzja wznowienia rozmów posiada więc znaczenie przekraczające jej treść bezpośrednią. Jest ona symptomem niezachwianej woli trzech mocarstw zgodnego współpracywania w rozstrzygnięciu spraw europejskich. Górą- jąc interes jednego ze sprzymierzonych musi i musi być uznany za zakres- nie bezpośrednio dotyczący jego bezpie- czeństwa. Uznanie tego nie jest barierą dla wspólnych rozmów, w istocie czyni ono takie rozmowy zarówno możliwymi jak owocnymi. Byłoby szaleństwem u- rzynywać, że W. Brytania ma równe z Rosją prawa i interesy do zabierania głosu w sprawach Europy Wschodniej lub, że Rosja ma równe z Brytanią prawa i interesy wchodzenia w sprawy Zachodu. Lecz Europa stanowi w końcu- czość i utrzymanie tej jedności jest występnym wymogiem trwałego po- koju”.

Ze argumentacja ta — w odniesieniu do stref wpływu — dziś już nie wytrzymuje krytyki w świetle nowych sowieckich fak- tów dokonanych, wykazuje to „Dziennik Polski” z 15 czerwca r.b. odpowiadając, że: „Prasa „Times’a” ironia ta ma się białe uzasadnienie. W istocie bowiem „Times” niepokoi się o to, by wbrew jego tezie podziału Europy na strefy wpływów:

„W. Brytania i Ameryka nie broniły zbyt silnie swych poglądów na sprawę polską”. W wysł tezy „Times’a” powi- ny one pójść na jak najdalejsze ustęp- stwo wobec Rosji. „Times”, który „daw- no już zaczął przychylić się do sowiec- kiej interpretacji formuły krymskiej”, dziś zdaje się nie wiedzieć, że „upra- gniony przez niego podział został już osiągnięty. Wygodę o widoczne- go założenia, że lepsza jest „dokładna” strefa wpływów — niż żadna. Dlatego- że cieszy się, że mimo braku zachod- niej — wschodnia strefa wpływów kry- stalizuje się coraz wyraźniej. Rozumie- nię to satysfakcja lekarza, który widzi, że jego recepta jest stosowana. Ale na- prawdę nie widzimy żadnych powodów do radości”.

Na zarzut „Times’a”, jakoby rząd polski w Londynie miał być wielką przeszkodą na drodze do rozstrzygnięcia sprawy pol- skiej, „Dziennik Polski” odpowiada, że: „Pozostanie już wyłącznie tajemnicą „Times’a” — jak Rząd, który ani przed- jałt ani po jejicie nie był nigdy kon- sultowany mógł się stać przeszkodą na drodze do porozumienia. Jeżeli zaś cho- dzi o trudności w stosunkach między mocarstwami, to chyba „Times” nie ob- cija prem. Arciszewskiego odpowiednie- działnością za — dajmy na to — Triest, lub za komplikację związane z między- alianckim rządem okupacyjnym Niem- ciec i Austrii”.

Zarzut reakcyjności gabinetu, kierow- nione przez socjalistów, nie wymaga od- prawy, dlatego też „Dziennik Polski” koń- czy w ten sposób:

„Przy obecnej dewaluacji pojęć o- kreślone „reakcyjny” zmienilo swoje u- latne znaczenie. Reakcyjny znaczy — broniący się przed rządami Rosji w Eu- ropie. W przeciwieństwie do tego przy- motnik „demokratyczny” oznacza — posłuszny, uległy wobec Rosji. W tym ujęciu Arciszewski jest reakcjonistą, a Tito człowiekiem demokratą”.

Jak bardzo bezkrytyczne w stosunku do Rosji stanowisko „Times’a” jest jednak odosobnione w prasie angielskiej, świadczą wypowiedzi innych pism. Nawet pisma do- tąd nam nieprzychylnie widzące wszystkie przeszłości i że znaki rozpo- czętej konferencji. Oto głosy bardziej cha- rakterystyczne.

Radykalna „Tribune” z 15 czerwca w artykule „Nowe nadzieje dla Polski” stwierdza z nim:

„Wznowienie rozmów nie oznacza, że wszystkie problemy lub nawet problemy najważniejsze są rozstrzygnięte, ozna- cza tylko, że narazicie został uczyniony poważny wysiłek w kierunku wypra- cowania praktycznego kompromisu po- między jak dotąd niedającymi się po- godzić punktami widzenia”.

Uważając, że zaproszeni, są bez wyjątku wybitnymi przywódcami demokratycznej lewicy, „Tribune” ocenie tej przeciwsta- wia jednak znacznie wyższy autorytet ar- ezowanych polskich przywódców:

„Niektórzy (choć żadną miarą nie wszyscy) spośród tych aresztowanych, w szczególności M. Pużak, sekretarz ge- neralny P. P. S., jeden z przywódców przeciwrosyjskiego ruchu oporu oraz M. Baginski, przywódca lewego skrzy- dła Stronnictwa Ludowego, jeden z o- ponentów i ofiar Piłsudskiego mają za- pewne to samo jest i większe jeszcze prawo do udziału w kształtowaniu przy- szłości Kraju niż ludzie zaproszeni obec- nie do Moskwy, nie mówiąc o człon- kach rządu tymczasowego. Trzeba ubie- cę, że dobry początek uczyniony obecnie przez wznowienie rozmów będzie wzmo- cnił przez rychłe uwolnienie tych lu- dzi i jeśli to możliwe przez dopuszc- zenie ich do rozmów”.

Stale nam nieprzyjaźni „The New States- man” pochwalając zaproszenie jako wy- raz „znacznie bardziej pojednawczego du- cha, okazanego zarówno przez Londyn jak i Moskwę”, stwierdza ostro, że „jest wciąż wiele trudności do przełamania, lecz że wreszcie jest to początek”. Podobnie jak „Tribune” — „Statesman” z całą swia-

domością podnosi jednak żądanie zwolnie- nia więźniów polskich przywódców, oświadczając, że zwolnienie ich byłoby „aktem rozumu politycznego ze strony Sta- lina jako wydatne ustępstwo dla opinii Zachodu”. Bez względu na wagę zarzutów przeciw oskarżonym — „Statesman” stwierdza, że:

„Proces w tych warunkach miałby rezultaty szkodliwe dla stosunków Rosji z resztą świata. Byłby on nie tylko po- wodem do olbrzymiej antyrosyjskiej propagandy na całym świecie, lecz nie- wątpliwie do powstania na naszym konty- nencie w Brytyjskiej w Polsce, oraz spowodowania ogłoszenia tak- tych instrukcji radiowych, przekazywa- nych stąd do polskiego ruchu podziem- nego, co mogłoby doprowadzić do po- rożeń. Nie byłoby to rozsądne poci- publiczne tyle brudnej bielizny i to w chwili, kiedy we wszystkich kierunkach zarysowywał się nadzieja znacznej po- prawy stosunków między Rosją i Za- chodem”.

„Time and Tide” z 16 czerwca w arty- kule „Nowe polskie rozmowy” przy- znaje wprawdzie, że wznowienie rokowań nie jest wydarzeniem bez znaczenia, pod- nosi jednak wymownie cały szereg „nie- pokojących aspektów” tej sprawy. Po pier- wsze podkreśla, że:

„Zaden z zaproszonych nie miał bez- pośredniego związku z polskim ruchem podziemnym, a stąd z życiem politycz- nym Polski podczas wojny. Prawdziwi polscy przywódcy Kraju, przedstawicie- le, którzy przyjęli poprzednie zaprosze- nie do rozmów, są dalej uwięzieni w Moskwie”.

„Wśród tych 16 są ludzie, którzy za- równo z brytyjskiego jak i z polskiego punktu widzenia powinni zabrać głos co do wszelkiej reorganizacji rządu pol- skiego”.

Drugim „niepokojącym aspektem” jest to, że „sytuacja w Polsce bardzo się pogorszyła od czasów Jałty. Prócz chaosu gospodarczego wciąż rosnąca na siłę kam- pania terronu prowadzona jest przez re- gularny i N.K.W.D. Doperacje trwają w dalszym ciągu. Najnowsze informacje opisuja ekspedycje karne ze wsparciem lotniczym, broni pancerniej i artylerii w lasach oraz po wsiach, gdzie polscy patrioci ukrywają się, aby uniknąć zesłania”.

Po trzecie: widząc główne znaczenie Jał- ty w zapowiedzi wolnych wyborów pism- domaga się wycofania z Kraju N.K.W.D., przywrócenia wolności słowa, prasy i gro- madzeń, zwrotu skonfiskowanych odbior- ników radiowych, uwolnienia wszystkich 16 aresztowanych polskich przywódców z Moskwy oraz udziału przynajmniej ty- sięcy innych więźniów politycznych, po- wrócić zesłanych, a wreszcie zabezpieczenia przed możliwością wszelkiego terroru.

Ponieważ możliwość istotnej poprawy

Dramat i polityka

(Dokończenie ze str. 1).

dokoła rokowań atmosfery zbrodni i po- dości, która ma utrudniać i nie ułatw- ięć pertraktacje. W gruncie bowiem Rosja — uważając sprawę polską za swą kwestię wewnętrzną i zatłwioną — nie chce do- puścić, by kraje anglosaskie w tej czy in- nej formie wpływały na bieg tych zagad- nień. Zmierza więc do takich rozwiązań, które w końcu doprowadziłyby Anglię i Amerykę do porzucenia zagadnienia pol- skiego.

Moskwa chce więc, by Polacy, którzy w obecnych warunkach rokują z rządem sowieckim, pogmębili się ostatecznie mor- talnie w oczach narodu polskiego. Moskwa pragnie, aby układy te — w tak szorst- kiej atmosferze prowadzone — były wy- razem moralnego załamania się ich, jak i wszystkich czynników, które zgodziły się na ten stan rzeczy. Łamanie charakterów, obniżanie pojęć ideowych na zachodzie, moralne rozbijanie świata cywilizowa- nego — o to jedna z doniosłych metod po- lityki sowieckiej. Świat ma sam najpierw złożyć się w swoich własnych oczach. Gdy to się stanie, nie pozostanie mu nic innego, jak kapitulować przed brutalnym barbarzyństwem.

W dniu, w którym rozpoczął się w sali kolumnowej dramat Rzeczypospolitej w innej gmatu moskiewskiej — dla po- kłócenia życia tragicznej sytuacji — wy- dało uczę dla Polaków, którzy przybyli do Moskwy na „rozmowy”. Polacy ci na- szczęście nie reprezentują w Moskwie ni- ckiego prócz siebie... Nie ma wśród nich w szczególności żadnej osobistości, która by- łażby zbliżona do Stronnictwa Narodowe- go i Chrześcijańskiej Demokracji. Ani rząd, ani żadne inne instytucje czy grupy nie upoważniły ich do rozmów. Nie osą- dzamy tych, których z Kraju przywiezo- no do Moskwy, choć nie uważamy ich również za nieprzyjaciół do decydowania o losach Polski. Ale wiemy, że b. minister Stałachy został usunięty z P.P.S. za swę samowolne stanowisko. Udał się on do Moskwy mimo, że jego towarzyszy partyj- ni Bień stanał przed sądem sowieckim i oskarżony jest z artykułu, który grozi karą śmierci. P. Mikolajczyk postawił się jeszcze w gorszym położeniu. Nie tylko jego kolega partyjny Baginski znalazł się na ławie oskarżonych, ale wódz jego i Stronnictwa Ludowego Wincenty Witos

uchylił się dwukrotnie od wyjazdu do Moskwy, tłumacząc się chorobą. (Mój Boże, jakieżż to nie wymuszenie mógł przedstawić agentom N.K.W.D.) Wszystko to stawia p. Mikolajczyka, jak i p. Sta- chyka w sytuacji nie do zniesienia w o- czach społeczeństwa, które jest wierne podstawowym zasadom moralnym. Czy p. Mikolajczyk poczuwa się choćby do obró- ny wicepremiera Jankowskiego, któremu zarzuca się „przestępstwa” popełnione przeciw w czasie, gdy premierem był wła- śnie p. Mikolajczyk i gdy on to wydawał in- strukcje dla władz podziemnych w Polsce?

Bez względu, jakie będą wyniki (przy- puszczać już gotowe) procesu i „roko- wani”, nie dadzą one rozstrzygnięć, które prowadziłoby do rozwiązania trwałego i korzystnego dla pokoju europejskiego. Nie dadzą więc wązów: 1) Tylko legalny rząd polski cieszący się zaufaniem Pola- ków może podejmować decyzje, które spolkają się uznaniem narodu. Prywatne osoby mogą przyjmować tylko prywatne zobowiązania. 2) W sprawie polskiej cho- dzi nie o rekonstrukcję „rządu” Bieruta, ale p. prostu o niepodległość państwa; 3) Londyński „Economist” stwierdza, że dopóki nominacje członków „rządu” pol- skiego w Polsce należąć będą do Bieruta, powołanego agenta moskiewskiego, żadna nawet najbardziej efektywna rekonstruk- cja jego „rządu” nie będzie miała cze- ki. Panem sytuacji pozostanie Be- rut, który, jak i każdy chłopek, będzie do- wolnie zmieniał swę „gabinę”. 4) W Pol- sce sowieckiej i N.K.W.D. są wciąż w por- sie id. Argumentów takich można by wy- nusić więcej.

Ale przyczyna najostrzejszą, która z- góry utrwala wartość „rokowani” jest atmosfera upodlenia, która jest świadomie wytwarzana w Moskwie. Mi- mo, że w polityce cynizem jest obecnie bar- dzo modny, rozwijająca się zrodzone w po- dości nie znajdują trwałego poparcia nie tylko w narodzie polskim, ale i w świecie, który bez prawdy, sprawiedli- wości i poczucia honoru nie mógłby istnieć. Rozwiązania takie nie utrzymają się. Wie- rzymy mimo wszystko w zwycięstwo Prawdy, wierzymy, że zdoła ona w ko- Ńcu zmobilizować siły duchowe świata, które przeciwstawia się skutecznie pocho- dowi barbarzyństwa.

Arp.

położenia Kraju leży w tych właśnie wa- runkach, które tak słusznie i rzeczowo pę- kno wywodzi, a które właśnie są stale lek- ceowane. „największego dziś znaczenia nabiera proces moskiewski. Słusznie więc londyńska „Myśl Polska”, organ Stra- ny, z 5 czerwca w artykule „Związkii pra- wa i więzy bezprawia” ogniskuje na tym procesie całą swą uwagę, podnosząc le- wszystkie argumenty, które powinny być jego miarą. „Proces” ten bowiem w samym swym założeniu i bez względu na wyniki „przewodu sądowego” jest pogwałceniem prawa narodów.

Wszystkie oskarżenia są funkcjonalistami suwerennego państwa polskiego. Wszyscy oni — zarówno ministrowie i parlamen- taryści jak i oficerowie — działając na te- rytoryum Rzeczypospolitej spełniają swoje obowiązki służbowe, działając w myśli za- rządzeń swego legalnego Rządu i w myśli swego sumienia. Z punktu widzenia prawa narodów sytuacja ich jest jasna i nie ma między nimi żadnej różnicy.

„Nawet ministrowie i dowódcy wojs- kowi krajów zwyciężonych — stwierdza „Myśl Polska” — nie podlegają sądom swoich zwycięzców, jeżeli osobiste nie są winni zbrodni politycznych i narusze- nia reguł prawa wojennego, ustanowie- nych w konwencjach międzynarodowy- ch. Dotąd tylko Hitler więził minis- trów podobnych państw za to wyłącznie, że byli ministrami i spełniali swoje obow- iązki”.

Dlatego też proces moskiewski jest przede wszystkim proklamowaniem bezprawia w stosunkach międzynarodowych. Bezpod- stawne byłoby — zdaniem „Myśli Polskiej” — wydrębianie pozycji na Okulickiego w tym „procesie”. Jak rząd polski jest rządem legalnym, któremu służy pełna o- chrona wedle prawa narodów — tak samo Polskie Siły Zbrojne są wedle tego prawa instytucją legalną. Nad tym wszystkim — „nie może przejść do porządku rząd sowiecki, a rządy amerykański i brytyj- ski oraz ich Siły Zbrojne nie będą też- mogły umyć rąk z krwi tego niewinnego — gdyby naprawdę w tym wypadku wład- ze sowieckie recypowały” — że skarbca niemieckiej moralnej i prawnej pojęcie nie- znane innym narodom. Justizmord!”

*) przejęły — przyp. red.

(Dokończenie ze str. 9).

kie źródła informacji; doświadczeń do wnio- sków, że na razie trzeba czekać cierpliwie, za- łoś się usmiechnie i przypadek pozwoli cze- raś się wyłowić z wody”.

Na terenie południowej Francji Polacy są rozrzuconci nierównomiernie, przy czym obliczają ich na 100.000, nie licząc dużej- go skupiska w Alzacji i Lotaryngii. Naj- większym miejskim centrum polskim jest na tym terenie Lyon, gdzie mieszka 5.000 Polaków, konsulatu tamtejszy ma w zasięgu swym kilka większych skupisk polskich, między innymi okręg przemysłowy Saint- Etienne.

Niedaleko Marsylii znajduje się duży pol- ski Obóz Zbrojny, gdzie obecnie przebywają uchodźcy z Polski i Niemiec. Dużo wy- nnu chłopców zesłanych z niemieckich, zmobiliz- wanych z naszych ziem zachodnich przez Niemców do obsługi dział przeciwlotni- czych. Chłopczy ci niestety zmuszeni byli uczęszczać do niemieckich szkół i napewno- wkrótce będą ich oglądali nasze szkoły- junackie, gdyż język polski znają oni je- dynie w mowie.

We wspomnianym obozie spotkałem żu- nierników naszych w battledressach z odzna- kami I. dywizji pancernej. Okazało się, że są to nasi chłopcy, wzięci przez Niemców do niewoli w Normandii w zeszłym roku, obecnie wyzwoleni przez wojska alianckie.

Jeśli chodzi o element młody, przy- bywający z Niemiec i z obozów jeńców wrześniowych, należy stwierdzić, że duch jego jest dobry, wiara w słuszność naszej sprawy i ostateczne zwycięstwo zupełna, nastawienie ogólne to samo co u żołnierza 2. Korpusu. Widac wyraźnie, że stanowisko nasze jest jedyną, jakie dla Polak może- zająć, skoro Polacy przeżywać z róż- nych stron, pozbawieni długi czas prasy i wiadomości polskich, poddają w dodatku wrogiem nam niemieckiej propagandzie, po- trafiają natychmiast, bez wahania przy- brać należytą postawę.

W dniu wczorajszym byłem świadkiem przybycia na teren obozu transportu kil- kust Polaków siłą wcielonych do armii niemieckiej i wziętych do niewoli bardzo niedawno. Widziałem na twarzach ludzi- tych, pochodzących z zachodnich ziem Pol- skich, mieszaninę dwóch uczuć: radości i zdzi- wienia. O przyczynach radości nie po- rozumiałem — wyrwali zostali z niemiec- kiego piekła. Wydzielono ich z miejsca w obozach jeńców alianckich, przybyli po- nich polscy oficerowie łącznikowi. Przyje- chali do obozu polskiego. Polskie flagi, pol- skie odznaki, polska mowa. A przecież ludzom tym od pieciu z górą lat mówiono, że Polscy nie ma i nie będzie. Niech wy- rzekną się niepotrzebnych mrzonek, prze- jąd do obozu silniejszego. Tamci byli prze- łomem snem, niepowrotną fantazją. Nie wróć!

I oto dziś dokonywuje się wielka rzecz. Bierzymy odwet za rok 1939, zacierą się w pamięci tych ludzi tragedia września. Nikt, nany tylko Polska, jej władze, jej in- stytucje wydobywają ich z dna piekła, za- mieniają łachmany ludzki w pełnowartości- owego człowieka i obywatela.

St. Czaplinski